Świat Kobiecy

N-R 12 15 CZERWCA 1931 R. ROK XI





1242



Ona: Przekonuję się, że wszystkie moje przyjaciółki miały rację polecając mi zawsze używanie niepospolitego kremu „Kwiat Śnieżny". — Od czasu używania tego kremu, przekonałam się, że inne kremy nie dorównują kremowi „Kwiat Śnieżny", który cudownie działa na upiększenie cery. 1191

1162

Herbata Riedla

Lwów, ul. Rutowskiego l. 3

Pończochy Jedwabne

w nowych kolorach

po Zł 7·50

1098

poleca

A LA VILLE DE PARIS

GABRYEL STARK

LWÓW, PLAC MARJACKI 11.

KSIĘGARNIA POLSKA
B. POŁONIECKIEGO
LWÓW, UL. AKADEMICKA L. 2 A

poleca ostatnie nowości:

HOCHE A. Niebezpieczny wiek mężczyzny. Lata przejściowe. . 4·— zł

GERLING R. Życie miłosne człowieka z uwzględnieniem wszystkich tajemnych chorób i ich zapobiegania. — Tłumaczył Dr A. Kłęsk . . . . 7·— zł

DEKORACJE WNĘTRZ
TAPETY — FIRANKI — KLUBY
SALONY — MATERJE MEBLOWE

T. KYSIAK i Synowie Lwów

Sklep pl. Smolki l. 4 — Tel. 40-09
Zakłady Kościuszki 20 — Tel. 19-85

1163

Ukazało się nowe wydanie
SŁYNNEJ UNIWERSALNEJ
KSIĄŻKI KUCHARSKIEJ
MARJI OCHOROWICZ-MONATOWEJ

Jest to 112tysiąc tej niezrównanej książki

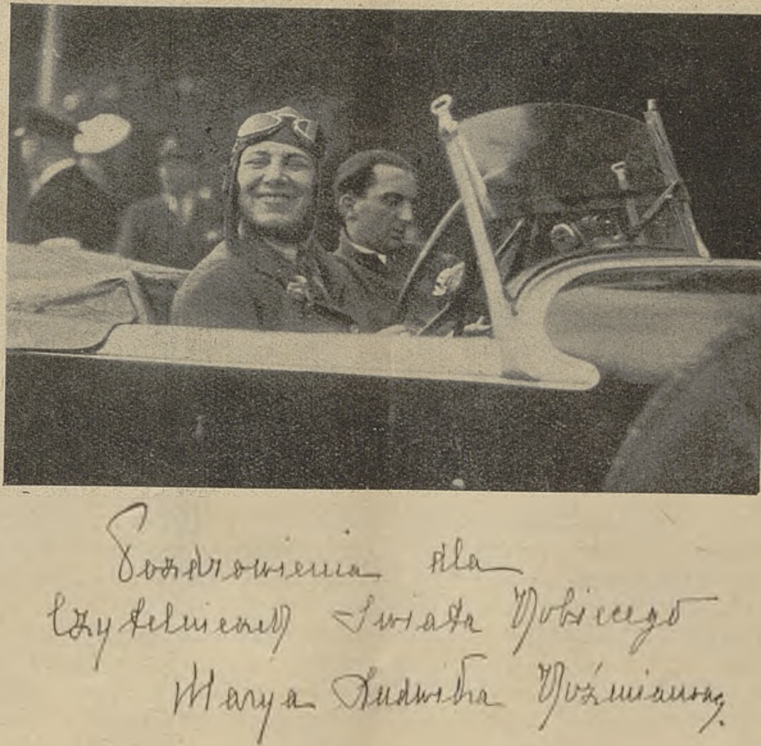
ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 12 — ROK XI — WARSZAWA — LWÓW — 15 CZERWCA 1931 ROKU

WYWIAD Z AUTOMOBILOWĄ MISTRZYNIĄ POLSKI MARJĄ KOŹMIANOWĄ

KORZYSTAJĄC z pobytu automobilowej mistrzyni Polski — p. Marji Koźmianowej we Lwowie, związanego z jej startem w Międzynarodowym Wyścigu Okrężnym, — udałem się z prośbą o udzielenie wywiadu dla Czytelniczek „Świata Kobiecego".

Myliłby się każdy, sądząc, że po „domowemu" p. Koźmianowa wygląda tak groźnie, jak w swym potężnym „Austro-Daimlerze", w haubie i „protektorach" (okulary lotnicze) na oczach. Wytworna i pełna wdzięku pani, nie ma nic zdawałoby się wspólnego z tą, która na trasie wyścigowej potrafi być nietylko groźną, lecz nawet zwyciężczynią płci „mocnej". Dowiedziawszy się, że wywiad jest przeznaczony dla „Swiata Kobiecego", p. Koźmianowa przystaje nań tem chętniej.



— Jak długo Pani prowadzi samochód i od jakiego czasu Pani startuje do imprez sportowych? — zapytuję.

— Sportem automobilowym interesuję się już od dosyć dawna, samochód zaś prowadzę od jakichś lat ośmiu do dziewięciu. Jednakże po raz pierwszy wzięłam udział w imprezie sportowej dopiero przed pięciu laty. Moim pierwszym „krokiem" automobilowym był raid pań urządzony przez Automobilklub Polski, gdzie na dwu-cylindrowej „Taterce" zajęłam czwarte miejsce. Z raidu tego mogę być naprawdę dumna, gdyż na 305-kilometrowej trasie, jadąc na tak słabej maszynie, jaką jest „Tatra", zdołałam uzyskać przeciętną 54 kilometrów na godzinę. W roku następnym nie brałam udziału w żadnej imprezie sportowej z powodu choroby. Dopiero w 1929 r. startując już na „Austro-Daimlerze" zdobywam w raidzie pań drugie miejsce, uzyskując pierwsze miejsca w płaskiej i górskiej próbie szybkości. Rok następny przynosi mi sukces w postaci zdobytego I miejsca w raidzie pań. Startuję również po raz pierwszy do wyścigu Tatrzańskiego. Niestety z powodu fatalnego stanu nawierzchni (było to zaraz po straszliwej ulewie) ulegam, szczęśliwie zresztą zakończonemu wypadkowi, wyłamując koło jakiegoś mostku kilka metrów barjery. Od tego czasu, dodaje z czarującym uśmiechem moja interlokutorka, most ten w języku automobilistów startujących do wyścigu nazywa się „mostem pani Koźmianowej".

Właściwie startować do wyścigów w całem tego słowa znaczeniu zaczęłam dopiero w roku ubiegłym. W wyścigu płaskim w Łodzi, przy silnej konkurencji udaje mi się zdobyć piąte miejsce w ogólnej klasyfikacji. Przyczem ustanowiłam nowy rekord Polski dla pań, wynoszący obecnie 115 kilometrów na godzinę. Wyścig pod Ojcowem wypadł mi słabo — nie miałam bowiem dobrze przygotowanej maszyny. Zrewanżowałam się za to na wyścigu Tatrzańskim, gdzie na znanej ze swej trudności trasie uzyskałam czas 6 min. 53 sek. W wyścigu lwowskim, do którego mam prawdziwy sentyment, przy silnej konkurencji męskiej zajmuję pierwsze miejsce w kategorji sportowej. Zdobyciem pierwszego miejsca w raidzie pań kończy się mój sezon sportowy ubiegłego roku.

— Jak się przedstawiają plany Pani na tegoroczny sezon?

— Poza startem w „Międzynarodowym Wyścigu Okrężnym we Lwowie", chciałabym wziąć udział w trzech wyścigach górskich urządzanych w Czechosłowacji, Austrji i Szwajcarji. Nie wiem czy zamiar ten uda mi się urzeczywistnić, w każdym razie takie mam plany. W tym wypadku nie startowałabym już do wyścigu Tatrzańskiego. Wezmę również prawdopodobnie udział w raidzie pań.

— Czemu należy przypisać, że naogół biorąc panie u nas w Polsce tak mało interesują się sportem automobilowym?

— Właściwie bardzo trudno mi jest odpowiedzieć na to pytanie. Obok względów natury finansowej, może przyczynia się i to, że mamy w Polsce bardzo mało wozów. Pomimo tego mamy kilka pierwszorzędnych kierowczyń, żałować tylko należy, że nie startują one do wyścigów. Nawet raid dla pań urządzany co roku zgromadza na starcie zaledwie 10—15 kierowczyń. Szersze grono pań-kierujących nie ma jakoś zapału sportowego. Słyszy się zdania: „szkoda wozu, a to fatalna droga, może się zdarzyć wypadek". A przecież np. w takim Paryżu przynajmniej trzydzieści procent samochodów prywatnych jest kierowanych przez panie, jadące same bez żadnego szofera. Rekord zaś szybkości dla pań wynosi tam przeszło 200 km na godzinę, ustanowiony na wyścigowym wozie. Należałoby jakoś zachęcić panie - kierujące do brania udziału w imprezach, do zdobycia się na ten pierwszy „krok".

Wywiad skończony. Żegnam się, dziękując jednocześnie za wywiad. U nóg naszej mistrzyni z godną miną siedzi „Bibcia", raffterier-mascotka, mająca przynosić swej pani szczęście. „Bibcia" ignoruje obcych ludzi, zdaje się jedynie rozważać, czy nie słychać gdzieś z daleka basowo-śpiewnego głosu „swego" „Austro-Daimlera" i czy nie będzie znowu jakiejś jazdy.

J. RADZIMIŃSKI

O DZIEWCZYNCE Z OGRYZKAMI

ROZMAWIAŁEM NIEDAWNO z dyrektorką jednej z lwowskich szkół powszechnych, osobą przedziwnej dobroci i szlachetności serca. Mówiła mi o biednych dzieciach z jej szkoły. 80 dziewczynek z rodzin rzetelnie proletarjackich siada do pierwszego jałmużniczego obiadu i — nie może jeść. Potrzeba dopiero kilkudniowych osobliwych zabiegów, polegających na stopniowem przyzwyczajaniu żołądka do przyjmowania koniecznej ilości pokarmu, ażeby wreszcie dziewczynki potrafiły zjeść pierwszy obiad z dwóch dań. — Inny szczegół: na jedną z dziewczynek pada podejrzenie, że kradnie, bo podczas pauzy wymyka się często cichaczem z podwórza, wraca ostrożnie do klasy, coś tam myszkuje i wybiega zpowrotem. Postanowiono ją podpatrzeć. Zobaczono jak dziecko wybiera z pod ławek szczęśliwszych koleżanek ogryzki chleba i chowa starannie do papierowej torebki, aby to potem zanieść do domu — rodzeństwu. Wysłuchałem tego i zrobiło mi się bardzo głupio. Pozornie niby jest wszystko w porządku. Jestem z przekonania chrześcijaninem, nie przyprawiłem dotychczas nikogo o niezasłużone cierpienie, daję jałmużny większe i mniejsze, podczas wojny nadstawiałem dobrowolnie woluntarjuszowego karku, nie biorę łapówek w żadnej formie i t. d. i t. d., czyli jestem jak tysiące innych, uchodzących za t. zw. porządnych ludzi z warstwy inteligenckiej. Otóż po owej rozmowie zrobiło mi się bardzo głupio razem z wszystkimi porządnymi inteligentami-chrześcijaninami. Zrozumiałem, że cały mój chrześcijanizm i ta cała moja porządność to jedno wielkie błazeństwo. Bo cóż innego mówi moje obszerne, zdrowe mieszkanie, mój nowy letni kostjum, moje projekty wakacyjnych wywczasów, cała moja t. zw. stopa życiowa, chociaż wcale nie wysoka, cóż innego mówi to wszystko skonfrontowane z owym ludzkim drobiazgiem licznym, nie potrafiącym zjeść skromnego obiadu z braku przyzwyczajenia do ludzkiego jedzenia?! Co właściwie wynika z tego, że mówię kazania do młodzieży i starszych, że piszę o rzeczach wzniosłych, że staram się pomnażać, choćby skromnym groszem, majątek narodowej kultury? Jaką to wszystko ma wartość, jeśli w obliczu owych wzniosłości uwija się ukradkiem między ławkami zgłodniała dziewczynka i zbiera odpadki chleba jak pies?! Jaką to wszystko ma wartość? Logiczne to niby jest, ba! nawet rozumne, t. j. zgodne z naturalnym porządkiem rzeczy. Wyższe, względnie silniejsze ustroje organiczne budują swoją „kulturę" na śmierci i poniżeniu ustrojów niższych, względnie słabszych, człowiek ogólny buduje swoją na śmierci i poniżeniu zwierząt, człowiek biały na takimże fundamencie ludzi kolorowych, człowiek wykształcony, inteligentny, pięknoduch — na zamieraniu żołądka owych dziewczynek, co nie potrafią jeść obiadu. I tak jak jedząc soczysty befsztyk nie myślimy w tej chwili o okropnościach rzeźni, o rozpacznym lęku walonego w łeb bydlęcia, tak samo, siedząc przy stole cywilizacji i spożywając przyjemnie przypadłe mi testamentem losu dobra, nie myślimy, że gdzieś tam rączka wybladła, pożółkła chwyta spadły z talerza niedogryzek.

Otóż to właśnie, że nie myślimy! Bo nie potrafimy. Gdybyśmy potrafili o tem równocześnie myśleć a żywo, toby nam łyżka odpadła od ust i w nieubłaganej konsekwencji pomarlibyśmy sami. Nad myślą moją panuje twardo władczy instynkt życia, że, kiedym głodny, biorę krwawiącą zdobycz na kieł, że, kiedym żołnierz, palę człowiekowi w łeb. Nie pomoże na długo widok rzeźni bydlęcej, nie pomoże groza ludzkiego pobojowiska, nie pomoże okropność głodem mrącego dziecka. Gdzieś tam jeden i drugi — bohater, święty, wybrany rzuci po takim widoku zdobytą pozycję społeczną, pokraje w sztuki szaty strojne i rozda, zniży się do poziomu najgłodniejszych. Osiągnie to szczęście wielkie, że mu sumienie nie zatruje nigdy smaczności kęsa niesionego do ust. Ale reszta, my wszyscy zwłaszcza tak zwani dobrzy, porządni, chrześcijanie niby z przekonania?

Rozczulimy się na pewno, zasmęcimy, zadumamy, oburzymy się, zaklniemy nawet, opodatkujemy się większą jałmużną, ale ostatecznie zostaniemy na pozycji; kiedy nam ubranie spełznie kupimy nowe gwoli godności stanu, kiedy przyjdą wakacje wyjedziemy z miasta na rozkosze powietrza i słońca, zostawiwszy za sobą w mieście, zostawiwszy spokojnie, dziewczynkę z ogryzkami w papierowej torebce.

Przewrót społeczny, komunizm, wysadzenie w powietrze takiej cywilizacji? Gdyby mieć wiarę, więcej, gdyby mieć pewność, że po zniszczeniu już się nie powtórzy to wszystko, okropne! Dla tego niepowtórzenia poświęciłbym Luwr i medjolański tum, Wawel nawet. Ale tej pewności niema. Jest inna pewność, ta, że wróciłoby wszystko zpowrotem. Pod innemi nazwami.

Trzebaby zabić w człowieku irracjonalny pęd ku pełnemu, bujnemu życiu. Zamierzało to i zamierza czynić chrześcijaństwo, pielęgnując równocześnie uczucia miłosierdzia, humanitarnej sympatji. Ale i ono poszło w rzeczywistości praktycznej po linji instynktu życia. Uświęcając ubóstwo, uspokoiło sumienia bogatych zalecając życie w kontemplacji, w oderwaniu od rzeczy tego świata pozwala pewnym naturom zamykać się w kryształowej wieży duchowego piękna i nie myśleć o głodzie i nędzy miljonowej, uwzględniając naturę ludzką potwierdza cnoty, będące wynikiem kompromisu między moim egoizmem a potrzebami miłosiernego serca. Dość, że można być porządnym chrześcijaninem dając jałmużnę „wedle swojej możności", co jest bardzo nieokreślone i pozwala mi wykpiwać się skromnym dateczkiem z obowiązku rezygnacji z wszystkiego, można być dobrym chrześcijaninem żyjąc dostatnio obok skrajnej nędzy bliźniego.

Tymczasem tylko rezygnacja z wszystkiego mogłaby naprawdę uspokoić nasze chrześcijańskie sumienie. Zapewne, religja stawia najwyższe ideały, na codzień musi być etyka łatwiejsza, wygodniejsza.

Ale to wszystko razem jest ogromnie smutne.

Pójdę do ciebie, nędzna dziewczynko z ogryzkami w papierowej torebce, wyciągnę z nory brudnej, smrodliwej, wyciągnę na światło, na smaczny obiad, na rozrywkę, na wyższą naukę. Będziesz rosła, dzień każdy będzie ci niósł rzeczy nowe — tam w twej dawnej norze dni były beznadziejnie podobne do siebie — zakosztujesz słońca, aromatu łąk wakacyjnych, zakosztujesz sztuki i wiedzy i zapomnisz o tamtem. Zapomnisz jeszcze bardziej, kiedy pokochasz w szczęściu... I może wtedy właśnie przyjdziesz do mnie a ja ci przypomnę. I może będzie wtedy u mnie owa szlachetna opiekunka dzieci głodnych i powie nam, że znowu wczoraj przyłapano dziewczątko bledziutkie na — kradzieży ogryzków... Cóż ty wtedy na to? — — —

Na pewno ci oczy powilgną, na pewno dasz tamtej jałmużnę. A potem?

A potem wrócisz do twojego szczęścia, do twojego jasnego pokoju, dla przypodobania się temu, którego kochasz, kupisz sobie piękny kwiat i przypniesz do piersi. Bo to będzie dla ciebie najważniejsze, bo przecież dlatego żyjesz.

Kiedy będziesz wchodzić do kościoła w dzień twojego ślubu, wtedy nawet Chrystus rozciągnięty w męce na krzyżu ołtarza będzie się do ciebie uśmiechał jakiś dziwnie wesoły, spokojny... A cóż dopiero fruwające

KAZIMIERZ BROŃCZYK

(Dok. art. na str. 263)

W ARMJI PRACY

UDZIAŁ KOBIET w pracy zawodowej jest dziś w Polsce stosunkowo wyższy — około 80 kobiet na 100 mężczyzn — niż w innych krajach. Jest to niewątpliwie wynik powszechnego ubóstwa naszego, trudnych warunków ekonomicznych, zmuszających do zarobkowania nietylko te kobiety, które chcą być samodzielne materjalnie, lecz i te, które wcale tego nie chcą, jak matki licznych rodzin, matki mające małe dzieci, lub kobiety, które hołdują przesądom towarzyskim i uważają, że pracować „nie wypada", wreszcie i te, które z natury i wychowania są leniwe i nie mają ochoty trudzić się pracą. Jednak coraz mniej jest rodzin, które mogłyby i chciałyby utrzymywać próżnujące jednostki, więc z konieczności ogół kobiet zabiera się do pracy zarobkowej.

Drugim motywem pracy kobiet jest postęp idei społecznych, równouprawnienie obywatelskie i polityczne oraz wielki skok naprzód w dziedzinie obyczajowej w kierunku swobody osobistej kobiet. Kobiety pracują, nietylko dlatego, że jedna z najoczywistszych i najprostszych prawd chrześcijańskich brzmi: „Kto nie pracuje, jeść nie powinien" — lecz i dlatego, że wiedzą, iż jedynie materjalna niezależność daje człowiekowi pełnię praw, swobodę i poczucie godności w życiu społecznem.

Ale udział kobiet w poszczególnych zawodach bywa bardzo różny, a co ciekawsze, nieraz niewiadomo, czem umotywowany. Zwracano już np. uwagę na fakt, że zatrudnia się dużo robotnic w przemyśle hutniczym, amunicyjnym, maszynowym, w młynarstwie, przy dźwiganiu ciężarów, niekoniecznie dla sił kobiecych odpowiednich — w zawodach zaś takich, jak kelnerstwo, hotelarstwo, które są niejako rozszerzonemi działami gospodarstwa domowego, kobiety są rzadkością. W fryzjerstwie damskiem kobiety pracują na szeroką skalę w Wielkopolsce i na Pomorzu — w Warszawie niemal monopol mają fryzjerzy-mężczyźni. Zakłady oczyszczania miasta zatrudniają mężczyzn, chociaż ci sami pracownicy są na pewno zdania u siebie w domu, że zamiatanie, sprzątanie, mycie są zajęciami godnemi jedynie „babskich" rąk.

Dlaczego jest ogromny napływ kobiet do dentystyki — a mały do weterynarji — też właściwie trudno zgadnąć.

Najpowszechniejszy udział biorą kobiety w pracy w gospodarstwie rolnem — trzeba przyjąć, że każda kobieta wiejska, od wczesnej młodości pracuje, czy to w gospodarstwie rodzinnem, czy też jako najemnica rolna. Jest to kilkomiljonowa armja pracy wytwórczej, ciężkiej, a w naszych warunkach prymitywnej, choć obejmującej szereg specjalności tak poważnych, jak hodowla bydła, drobiu, mleczarstwo, rolnictwo, ogrodnictwo.

Warsztaty pracy rzemieślniczej zatrudniają sporo kobiet, najczęściej w opłakanych warunkach chałupnictwa, równającego się z fatalną higjeną, złemi zarobkami, z sezonowem bezrobociem, klęskami szarpiącemi zdrowie i moralną równowagę. Rzesze pracownic igły, szwaczek, krawcowych, hafciarek, kamaszniczek, kwiaciarek, praczek, prasowaczek — pędzą ciężkie życie, pozbawione opieki socjalnej i praw robotniczych. Pracują albo u siebie w domu, albo w małych warsztatach, nie podlegających inspekcji pracy...

Służące domowe — bardzo jeszcze licznie reprezentowany zawód, jeśli zważyć, że w samej Warszawie jest ich 30.000. W służbie szpitalnej i sanitarnej (posługaczki, higjenistki, akuszerki, sanitarjuszki) coraz więcej kobiet znajduje zajęcie, w miarę rozbudowywania się instytucyj higjeny.

Liczbę robotnic fabrycznych podawano w ostatnich latach na 200.000 czyli około 30 % w stosunku do mężczyzn — dziś cyfry te niewątpliwie uległy zmianie wskutek bezrobocia, choć stosunek procentowy prawdopodobnie się nie zmienił. Najwięcej sił kobiecych pochłania przemysł włókienniczy, w którym kobiety przewyższają liczbę mężczyzn (54—63 %). Przemysł ten zatrudnia wogóle przeszło połowę robotnic polskich. Zkolei idzie przemysł spożywczy, monopole tytoniowy i spirytusowy, przemysł chemiczny, mineralny, konfekcyjny, papierniczy, metalowy, górniczy. — Robotnice fabryczne korzystają z ustaw socjalnych — jakkolwiek często łamanych (np. czas pracy bywa przedłużany do 10—12 godzin) — z ubezpieczeń i ochrony macierzyństwa. Bolączką ich są nędzne płace (40—60 % w stosunku płac mężczyzn). — Przemysł i handel zatrudnia ponadto rzesze pracownic umysłowych, biuralistek, handlowczyń, techniczek i specjalistek różnych rodzajów. Liczne maszynistki, stenografki, sekretarki, korespondentki, rachmistrzynie, buchalterki, kasjerki, inkasentki, agentki, akwizytorki, telefonistki, radjotelegrafistki, rysowniczki, laborantki i t. d. Są to przeważnie siły drugorzędne, pomocnicze. Kobiety stanowią 30—35 % ogółu pracowników przemysłowo-handlowych. — Na stanowiskach kierowniczych w przemyśle i handlu jest kobiet niewiele. Zdarzają się dyrektorki administracyjne, kierowniczki działów, prokurentki, kierowniczki biur — do bankowości Polki mało okazują zamiłowania, wbrew tak wielkiemu powodzeniu, jakie kobiety amerykańskie w tej dziedzinie osiągnęły. — Osobno należy wyszczególnić grupę pracownic sklepowych, które są elementem niezorganizowanym i niestałym. Tylko w nielicznych wielkich przedsiębiorstwach są one pod opieką ustaw socjalnych: ogół ekspedjentek — to zdana na łaskę i niełaskę pracodawców falanga, płynna i nieuświadomiona, pozbawiona jakiejkolwiek obrony i ochrony. — Administracja państwowa zatrudnia stosunkowo niewiele kobiet — ogółem jakieś 15 % w stosunku do mężczyzn-urzędników i funkcjonarjuszy. W niektórych działach administracji państwowej pracuje od 40 % kobiet (opieka społeczna, oświata) do 33 % (poczty, telegraf). Ale olbrzymia większość urzędniczek — bo 80 % — zaliczonych jest do trzech najniższych stopni służbowych. Wyższe stanowiska „wydzielane" są kobietom, jakby na lekarstwo. Dostępu bronią im zastrzeżenia i ograniczenia, nic wspólnego nie mające z istotnemi potrzebami służby lub fachowem przygotowaniem kandydatów płci obojej...

Bardzo wydatna jest praca kobiet w nauczycielstwie: przewyższają one liczbę mężczyzn w szkolnictwie powszechnem (60 %), a nie o wiele mniej są liczne wśród nauczycielstwa szkół średnich (40 %). Prawa ich są respektowane narówni z prawami mężczyzn — z wyjątkiem stanowisk dyrektorskich. — Żywy ruch panuje w zawodach wolnych. Z natury rzeczy zdolności, kwalifikacje i energja osobista decydują w walce o stanowiska i zarobki. Zawody wolne wymagają przeważnie wyższego wykształcenia — osiągnęło je już wiele tysięcy kobiet w Polsce, stając się tem samem kandydatkami do stanowisk. Nie znajdują pola w służbie państwowej — co jest dużym błędem i omyłką systemów rządzenia — z trudem wchodzą teraz do sądownictwa, jeszcze nie dostały się do dyplomacji, ale licznie już pracują jako lekarki, pielęgniarki, adwokatki, rolniczki, chemiczki, architektki, zarówno w dziedzinie praktycznej, jak i nauki ścisłej. Artystki — sztuki plastyczne i scena — literatki, dziennikarki wnoszą do naszego dorobku kulturalnego nowe, świeże pierwiastki.

Praca kobiet ogarnęła wszelkie niemal dziedziny — trwa u nas zbyt jeszcze krótko, by można ocenić sprawiedliwie jej wyniki. Zjawiska, jakie jej towarzyszą, wywołały jednak już w psychice społecznej przemiany sięgające najżywotniejszych zagadnień.

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

W PRACOWNI RZEŹBIARKI



Janina Reichertówna „Tancerka"



Janina Reichertówna „Zasłuchana"



Janina Reichertowna Głowa anioła"

ZAISTE wielka jest siła kontrastów, potęgująca wrażenia.

Do pracowni rzeźbiarki dobrnęłam przez halę targową, między koszami jarzyn. W dużym, posklepowym lokalu użyczonym przez miasto pracuje Reichertówna. Powiada, że dobre i to. Jest miejsce, jest światło choć nie najlepsze, a od sąsiedztwa targu odgrodziła się artystka zamykając główne wejście żelazną roletą. Podobno zaglądały do niej nieustannie baby z jarzynami, kwiatami i bezgranicznym podziwem. Zdziwiło mnie to w pierwszej chwili. Skupiona sztuka Reichertówny nie jest popularna aż w takim stopniu. Nie jest łatwa w swej subtelnej prostocie. Niema nic ze starego, utartego kanonu piękności. I także nic wspólnego z ostatnim krzykiem współczesności. Sądzę, że gdyby za drzwiami pracowni był targ na współczesność, na przeróżne majsterskie sztuczki pokrywające często pustkę duchową i nieuctwo techniczne — wtedy żelazna roleta spuszczona ręką artystki mogłaby stać się symbolem.

Więc sztuka Reichertówny nie jest współczesna? Jest, najistotniej i najgłębiej. W rzeźbie Reichertówny skojarzyły się w przedziwnej i nieoczekiwanej harmonji tradycje klasycyzmu z prymitywem współczesnego wyrazu. Jeśliby trzeba koniecznie rzec jakieś nazwanie jej stylu, to określiłabym go jako neogotycki. Ale przedewszystkiem jest jej własny, nawskróś indywidualny. Stąd tak wielka szczerość i prawda w jej wypowiedzeniach artystycznych. Stąd ani cienia pozy.

Tak, zdaje mi się, że właśnie ta wielka i szczera siła wyrazu bijąca z rzeźb Reichertówny sprowadziła w wspólnem uznaniu i poczciwe babiny z kwiatami, i mnie, i znawców godnych naprawdę tego miana.

Patrzę oto, jak pod smukłemi palcami artystki wyłania się z ciemnej masy gliny postać św. Elżbiety. Jest to druga wersja, św. Elżbieta królowa, z koroną na głowie. Pierwsza, którą osobiście wolę, stoi skończona w odlewie gipsowym. Nazwałabym ją „św. Elżbietą w drodze do świętości". Jest najbardziej po chrześcijańsku pokorna i cicha. Wyraz ten osiągnęła artystka rytmiką kompozycji. Od włosów sczesanych z mocno sklepionego czoła, od nachylenia ascetycznej twarzy — do fałdów sukni i płaszcza — jeden rytm układu. Czyni to niezwykle harmonijne wrażenie spokoju. Ten sam skupiony spokój, tylko z pewnym odcieniem surowości, bije od dwóch postaci świętych Jakóba Strepy i Stanisława. Całość wraz z dwoma klęczącymi aniołami (odkuwają się właśnie w kamieniu) przeznaczona jest do ołtarza głównego w kościele św. Elżbiety we Lwowie.



Janina Reichertówna „Głowa" rzeźba w drzewie

Pytam: czy rzeźba kościelna odpowiada Pani? Wszak wszystko tu jest krępujące. Wymiary, temat, ponadto narzuca się pewien szablon wyobrażeń, panujący z konieczności w sztuce kościelnej. Otóż właśnie, sztuka kościelna pociąga artystkę. Tworzy z radością. Nęci ją wydobycie nowego wyrazu, wyzwolenie rzeźby kościelnej z dotychczasowego przeważnie rzemieślniczego ujęcia. A przedewszystkiem odpowiada jej nastrój kościoła, nastrój mistycyzmu.

Tak, zapewne, nastrój mistycyzmu odpowiada Janinie Reichertównie. Świadczą o tem wymownie wszystkie jej głowy w drzewie i gipsie. Takie urojone portrety o spojrzeniu zwróconem do wewnątrz. Jedna, w odlewie gipsowym, o przymkniętych oczach i odchylonej długiej szyi, zasłuchana jest w jakiś tajemniczy głos.

Druga, w drzewie, jakby wyłuskana z wnętrza pnia dusza drzewa.

I trzecia w złotem lipowem drzewie, wkomponowana w prostokąt. Gładzizna twarzy o wpółprzymkniętych, podkreślonych oczach, ujęta jest w otok ostro skręconych loków. Niema tu, stosowanego dziś prawie niepodzielnie, ostrego cięcia dłuta. Podobno, drzewo nie powinno być gładzone, tylko ostro, wyraziście cięte. Tak mówią najnowocześniejsi. Dlaczego — nie wiem. Stosowanie techniki do materjału w tym wypadku nie usprawiedliwia tego przykazania. Nie wiem, czy głowa,

JANINY REICHERTÓWNY

o której mówię, mogłaby mieć jeszcze prawdziwiej współczesny rodowód, gdyby była łupana zamiast gładzona. Przypuszczam, że nie. Łączności ze sztuką naszych czasów nie można szukać w samej zewnętrzności. A nawet styl, w którym tworzy artysta, może być poniekąd obojętny. Natomiast nie może być rzeczą obojętną indywidualność artysty. Objawia się ona w duchu, w wyrazie, w ujęciu dzieła i decyduje o przynależności.

Oto „Tancerka" Reichertówny. Silne, muskularne nogi wzniesione na palcach, smukłe biodra, tors efeba, mała, gładka, odrzucona wstecz głowa i płynny ruch skrzyżowanych rąk. Całość możnaby powiedzieć klasyczna. A więc według nowego alfabetu estetyki — czytaj — przebrzmiała. Tak, może, gdyby nie te niewczorajsze proporcje ciała kobiecego i gdyby nie ekspresja wyrażająca syntezę dzisiejszego pojęcia o tańcu, wcielenie dźwięku w ciało.

Drugiem takiem plastycznem rozwiązaniem nowoczesnego problemu jest grupa zatytułowana „Niewolnicy". Tytuł odpowiada wyrazowi, choć bez atrybutów przyjętych a znamionujących niewolnictwo. Pochylenie i złożenie dwóch głów pełnych męki. Ukryty węzeł łączący tych dwoje, mocniejszy jest od łańcuchów widzialnych.

Przechodzę w inny kąt pracowni. Tu „Lotnik", znany z wystaw. Okręcenie postaci i draperji ubrania wokół pionowej osi, przy równoczesnem odchyleniu rąk ku tyłowi, sprawia wrażenie lotu.

„Lotnik" jest jednym z monumentalnych projektów artystki. Jednym, bo jest ich więcej. Wszystkie odznaczają się siłą inwencji artystycznej i wyrazu. Siłą, o której powiedziałabym, że jest niekobieca, gdyby przyznawanie jej wyłącznie artystom-mężczyznom miało jakiekolwiek logiczne uzasadnienie i nie mijało się tak często z prawdą.

A przecież w niektórych rzeźbach Reichertówny obok tych właśnie cenionych „męskich" walorów przebija się także inny, rzec można „kobiecy". Ton uczuciowy. Przyglądam się właśnie grupie, którą nazwałabym „nowa Pietà" albo może „Ból matek". Rzeźba powstała pod wpływem wojny i jest głęboko tragiczna. Jest tak jednolita w koncepcji i tak każdą linją sprowadzona do jednego mianownika — uczucia, — że sprawia wstrząsające wrażenie. Artystka zamierza tę grupę jeszcze raz opracować. Nie jest zadowolona z jednego planu i być może słusznie. Najlepszym sprawdzianem i najrzadszym jest autokrytyka. U Janiny Reichertówny rozwinięta nader silnie.

Siedzę na gościnnym stołku w pracowni i nie chcę odejść. Zatrzymuje mnie tu przedewszystkiem atmosfera. Taka specyficzna atmosfera pracy, twórczej, szczerej i umiłowanej. Artystka pracuje i nuci. Ma ten zwyczaj. Podsłuchuję — nuci „rąbek z głowy zdjęła". Uśmiecham się, czas kolęd minął, ale rzeźbiarka modeluje rąbek, chustę na głowie św. Elżbiety. Skojarzenie pojęć. Podświadome i piękne. I nagle myślę sobie: czy wypowiedzenia artystyczne Reichertówny mogłyby nie być rzeźbami? Bo są przecież obrazy, które mogłyby być opowiedziane słowami. I są takie rzeźby. Tyle w nich literackiej fabuły związanej tylko luźno z plastyczną formą. Przemawiają one najczęściej do szerokiego ogółu, a u krytyków mają nazwę „malowana literatura".

Ale wypowiedzenia Reichertówny są tylko rzeźbą. Są pomyślane i wykonane tylko jako bryła, a treść w nich zawarta wyraża się stosunkiem linij i płaszczyzn. Forma przenika treść. Więc są pure sang rzeźbą i nie mogłyby być niczem innem.

JANINA OSIŃSKA



Janina Reichertówna „Pietà"



Janina Reichertówna „Niewolnicy"

WŚRÓD CIASNYCH ŚCIAN ŚWIATA

NAJNOWSZA KSIĄŻKA Zofji Nałkowskiej opowiada o życiu tych, których usunięto żywych poza krąg życia.*

Są to właściwie krótkie relacje obserwatora, jakieś dzieje bez początku i bez końca, jakieś fragmenty treści, wyszarpane ze środka, jakieś wąskie uchylenia drzwi na przeróżne istnienia i losy. — Wspólną więzią tych istnień są ściany więzienia, ściany ciasnego świata, które opięły i zasłoniły horyzont tych ludzi. Ściany ostają się — ponure, nieruchome i ciasne — a wśród nich przesuwa się tłum postaci, wypchnięty poza obręb normalnego bytowania, po to „aby więzienia nie były puste", jak powiada autorka. Po to, aby życie społeczne mogło iść zwykłym trybem, aby nic nie nadwerężało jego normy i spokoju.

„Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś". Czy tak?

W więzieniu — pisze Nałkowska — „mieszkają ci, którzy w wielkiej równowadze świata wzięli na siebie zło". I dlatego w więzieniu nigdy nie jest pusto. A nawet: „Wszystko jest dlatego, że jest więzienie".

Więzienie! A więc jakiś „martwy dom" Dostojewskiego? Coś z tego i coś zupełnie innego. I tu i tam zmieniają się mieszkańcy domu — dom zostaje wciąż, czeluść czarna, poza obrębem świata, czekająca na nowe ofiary.

Tu i tam narratorem jest ktoś, kto znał tych ludzi, kto się z nimi osobiście stykał. U Dostojewskiego współwięzień — ale patrzący na swych towarzyszy z perspektywy, jaką stwarzała mu jego sfera i wychowanie — jego pochodzenie. U Nałkowskiej — sama autorka, która w swoim czasie odwiedzała cele więźniów na prowincji w celach humanitarnych. Metoda Nałkowskiej, zaznaczająca się w ostatnich jej powieściach, osobliwie zaś w „Niedobrej miłości" — w „Ścianach świata" szczególne oddała jej usługi. Metoda to jakby stworzona do tych opowiadań. Obserwatorka zeznaje swe spostrzeżenia — uchyla przed nami jakby co chwila drzwi jakiejś innej celi, ukazując innego więźnia. „Drzwi otwierały się i w każdej celi pod przeciwległą ścianą, poniżej zakratowanego okienka, stał sztywno na baczność jakiś więzień." A w chwili, gdy zaznajamiamy się z nim bliżej dzięki medjacji autorki, medjacji bynajmniej nieukrywanej, lecz owszem na każdym kroku pilnie podkreślanej — wówczas owa ściana poza więźniem jakby rozstępuje się, czy też zamiast prostokątu muru wsuwa się na moment prostokąt ze szkła.

I przez tę szybę, dozwalającą na szeroki horyzout, możemy śledzić drogę, która więźnia aż do tych tu ścian przywiodła. Drogę niezawsze widną — gubiącą się często w jakichś zawiłych zakrętach, przepadającą często w jakichś chaszczach. Ale zdarza się, że nietylko tę drogę dostrzegamy. Że z nią przecina się jakaś inna, jakaś diametralnie inna — a zdumiewające jest właśnie to, że te dwie drogi, te dwie tak dziwnie dobrane, że niktby się tego, jako żywo, nie spodziewał — że te właśnie drogi przecinają się z sobą. Że jest punkt taki — niby obcy, daleki i obojętny — a przecież niesłychanie ważny, który obu tych dróg dotyczy, który im obom jest wspólny. W taki to właśnie szczególny sposób zaplotła się dola biednego prostego Ołdaka z losem pana Opolickiego i Ołdak nie mógł uzyskać zwolnienia z więzienia, ponieważ na to trzeba było świadectwa pana Opolickiego, u którego Ołdak dawniej służył, a który obecnie sam odsiadywał karę w temże więzieniu. I jego świadectwo nie miało już potrzebnego autorytetu. Opowiadanie nosi tytuł „Zależności".

---

* Zofja Nałkowska: *„Ściany świata"*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Wchodzi tu bowiem w grę, w tem i w innych opowiadaniach tej książki „zjawisko domykających się pierścieni".

Zjawisko to ważne jest ze względu na pogląd Nałkowskiej na irracjonalność życia. Jakże więc pogodzić tę irracjonalność z owem „domykaniem się pierścieni"? Są to przecież w takim razie systemy — których nie znamy. A skoro — jak już poznaliśmy u Nałkowskiej — relacje psychiczne podlegają także „prawom równie ścisłym, a bardziej zadziwiającym, niż układ ciążenia w systemach słonecznych świata" — a również nieznanym, to chyba rację ma Słowacki, widząc w gmatwaninie ziemskiego życia dziwaczne linje desenia dywanika, oglądanego z lewej strony. „Po tamtej stronie są kolory i rysunek."

To, co naprawdę zdaje się interesować Nałkowską w tej książce, to kwestja charakteru. Ta kwestja zaprząta ją widocznie od czasu wydania małej książeczki o charakterach. Znamy już jej pogląd na tę sprawę — wiemy, iż dla niej charakterów niema właściwie, że istnieją jeno relacje psychiczne, Że człowiek może być „każdym możliwym" — zależnie od tego, z kim się zetknie — w jakiem otoczeniu, na jakiem miejscu tego żywiołu ruchliwego, któremu dajemy nazwę życia — przypadek czy los go postawi. A to się staje dzięki właśnie irracjonalności tego życia. I od tego zależy stosunek czyjś do zbrodni. Od tego zależy jego od niej odległość. I nawet jego dla niej obcość. To jakoby ofiarne i dobrowolne, choć podświadome branie na się zła, które ktoś musi spełnić, ażeby reprezentowane były wszystkie elementy życia.

I tym właśnie sposobem Nałkowska, troskliwie zaznajamiająca czytelnika ze swojemi postaciami, własnoręcznie niejako rozjaśniająca mroki ich wnętrza, wydobywająca ich rację wewnętrzną — okazuje je, na chwilę przynajmniej, takiemi, jakiemi one same widzą siebie. A wobec relatywizmu — trudno wiedzieć, czyj pogląd na daną sprawę, na sprawę tych więźniów, jest właściwy: oficjalny, zewnętrzny — czy ich własny.

W takiem ujęciu rzeczy, książka, dzieląca się na poszczególne opowiadania, stanowi właściwie całość. „Ściany świata", ciasne ściany więzienia obejmują i łączą wszystkich mieszkańców. Wszystkich pospołu okuł ich los. Nazwiska więźniów powtarzają się w poszczególnych opowiadaniach, tak, że stanowią one jakgdyby rozdziały powieści. Nie o wiele inaczej dzieje się we „Wspomnieniach z martwego domu" Dostojewskiego. Tylko, że cel artystyczny Nałkowskiej jest zgoła inny — jak inna jest jej postawa wobec rzeczywistości.

Do pewnego stopnia wyodrębnia się opowiadanie pierwsze zbioru, p. t. „Rodzina Marcji". Opowiadanie to, jednym tylko i to ubocznym punktem zahacza o więzienie. Ściany świata biednej Marcji wytycza obłęd. On jest jej więzieniem.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na pewien motyw, zaznaczony już w „Charakterach", a rozwinięty w „Niedobrej miłości". Motyw wiarołomstwa męża wobec żony. Ciekawa jest analogja w ukazaniu tego motywu. W „Charakterach", w studjum p. t. „Mężczyzna", ukazuje nam autorka trójkę, w obrębie której ma się rozegrać dramat, w loży w teatrze: mąż, naiwny i bezwzględny egoista, żona — indywidualność i ta trzecia, o której nic specjalnego nie da się powiedzieć — nijaka. Tyle, że padło na nią światło oczu pana domu. W nowym zbiorze, w opowiadaniu zatytułowanem „Zależności", również poznajemy oczyma autorki podobną fatalną trójkę w loży prowincjonalnego teatru. Jakgdyby w tem obramieniu ekspresja obrazu nabierała siły i wyrazistości.

Podkreślony już, demonstracyjnie niejako subjektywny stosunek autorki do tworów jej fantazji, nietylko nic nie ujmuje epice Nałkowskiej, ale ją jeszcze kondensuje. Stwarza być może manierę pisarską — ale manierę niezbędną dla jej obecnej postawy artystycznej. Podobną manierę prostoty rafinowanej wykazuje styl. Występuje ona najjaskrawiej i najtypowiej na takiem zdaniu: „Pierwszy raz zobaczyłam ich wszystkich troje w loży teatru na zajmującej i dobrze tam granej sztuce Fredry, która się nazywa „Damy i huzary". — Jednakże zawsze bliższa artyzmu jest prostota, choćby zbyt świadoma siebie, niż naładowana werbalizmem wymyślność.

W epice tego tomu zwraca uwagę pewien *hiatus*, subjektywizm tym razem niewątpliwy, liryzm niezawodny i pełen wyrazu, nawiązujący do elementów autobiograficznych w twórczości Nałkowskiej — ustęp rozpoczynający najpiękniejsze może z tych opowiadań p. t. „Krzyk niesłyszany".

„Powróciłam tutaj, do mego domu nad łąkami — jak dawniej, jak zawsze — by jeszcze raz wyleczyć się z tych ran, które zadała mi moja niedola, i z tych, które zadało mi moje szczęście...

...Oto miejsce mojej młodości, pełne zakątków szczęścia i rozpaczy, gdzie nic nie było nauką i doświadczeniem, a wszystko czekaniem, zapytaniem i niezrozumieniem. Tak samo jest dziś, tak samo jest jeszcze raz. I czyż jestem bardziej spokojna, mądrzejsza, czyż jestem mniej żałosna? Nie.

... — Więc to tak miało być, więc to tak?"

Lecz od tych własnych pytań bolesnych, pytań nagich w swym liryzmie, w epice niedozwolonych, a przeto tem większy mających urok, wraca Nałkowska do „cudzej sprawy", której nie zdołała „ani pomóc, ani zapobiec, ani naprawić". Nie może bowiem wyobrazić sobie, by w i ę z i e n i a mogły być p u s t e.

Nałkowska najczęściej opowiada o rzeczach, na które niema ratunku.

Winien temu zapewne — irracjonalizm życia.

IDA WIENIEWSKA

J. W. GOETHE

BLISKOŚĆ UKOCHANEGO

Myślę o tobie, kiedy lśnienie słońca
Z morza wybłyska;
Myślę o tobie, gdy światłość miesiąca
W źródłach połyska.

Widzę cię, gdy się na drodze dalekiej
Wzbija kłąb pyłu —
W nocy, wędrowiec kiedy stąpa z lękiem
Kładką pochyłą.

Słyszę cię w wichru morskiego orkanie,
Gdy fale żenie,
I w cichym gaju, gdy wszystko ogarnie
Słodkie milczenie.

Jestem przy tobie, choćbyś był w oddali,
Jesteś tuż obok!
Słońce już zaszło i gwiazda się pali —
Oh, chcę być z tobą!

MIGNON

Ten, kto tęsknotę zna,
Ból mój ogarnie —
Samotny ból co łka,
Serca męczarnie.

Na niebie smugę dnia
Ciemność już chłonie —
Ten co mię kocha, zna,
W dalekiej stronie.

Ogień mi w skroniach gra,
Trawi mię żarnie —
Ten, kto tęsknotę zna,
Ból mój ogarnie.

RICARDA HUCH

TĘSKNOTA

By przy tobie być,
Trud ścierpię, głody,
Rzucę druha i dom,
Życia ogrody.

Rwę się ku tobie jak
Fala do lądu,
Jako na wyraj ptak
W jesiennym ciągu.

Jako góral do gór,
Gdy mu się nocą zwidza
Ubielon śniegiem szczyt
W jaśni księżyca.

Spolszczyła IDA WIENIEWSKA

O DZIEWCZYNCE Z OGRYZKAMI

(Dok. art. ze str. 258)

po gzymsach aniołki! Toż to będzie ich granie a śpiewanie, a rączkami ci będą posyłać całuski najsłodsze! Istny olimpijski pałac niebieski, pałac wiecznie szczęśliwy, boginie rozigrane, roztańczone, bogów łuki promieniste, we włosach sierpy księżycowe, szaty z najcieńszych nitek słonecznych...

Nietylko bogi się śmieją.

Kiedy będziesz wracała z kościoła do domu na ucztę weselną, przez miasto przywita cię pogodnem obliczem żebraczka z dzieckiem na ręku na rogu ulicy, z okien piwnicznych migotać będą ku tobie radośnie gwiazdeczki oczu dziewczynek, co nie mogły wybiec na chodnik bo nie mają sukienek, ale i z dołu widać doskonale, w pobliskiej fabryce zagra ci rytmem modnego tańca stuk robotniczych młotów w pocie 60-stopniowego żaru, wszystko będzie jednem świętem świetlistem.

Tylko że to wszystko razem jest ogromnie smutne...

KAZIMIERZ BROŃCZYK

JADWIGA TOEPLITZ-MROZOWSKA

PRZYPATRZCIE SIĘ, Czytelniczki, temu podróżnikowi w praktycznym, sportowym stroju męskim, który rozmawia z dziwacznie ubranymi Kirgizami, płacąc im za jakieś usługi, oddane w ciężkiej wędrówce po pasmach pamirskich. Czy uwierzycie, że jest nim kobieta?

Losy Jadwigi Toeplitz-Mrozowskiej, naszej rodaczki, ongi znakomitej artystki dramatycznej, która we Lwowie i Krakowie oczarowywała tłumy jako „Hajduczek" i „Demon ziemi", dziś światowej sławy podróżniczki i badaczki naukowej — można doprawdy nazwać historją z bajki lub najbardziej fantastycznego romansu, jeżeli bajka i romans nie wydadzą się przy nich za blade. Pani Mrozowska, dziś siwowłosa już dama, z wyrazem niezamąconego spokoju na twarzy i uśmiechem na drobnych ustach — nie uważa wcale, by przejście ze sceny na azjatyckie szczyty górskie do sześciu tysięcy metrów wysokości było skokiem nagłym i zbytnio odbiegającym od jednolitej linji postępowania.



Jadwiga Toeplitz-Mrozowska w otoczeniu Kirgizów

— Nigdy niczego uparcie nie chciałam, nie dążyłam wbrew swemu przeznaczeniu — opowiada mi zwycięska podróżniczka w czasie mojej wizyty w jej chwilowem mieszkaniu we Lwowie. Na Wschodzie przejęłam się filozofją buddyzmu i uważam, że nie należy tracić energji i czasu na przeciwstawianie się swemu losowi. Za marnowanie czasu nie uważam życia cnotliwego lub grzesznego, ale użycie na rzeczy bezcelowe chwil, które powinny być oddane pracy nad sobą i spełnieniu tego zadania, jakie każdy z nas z sobą na świat przynosi. Kto podda się siłom, tkwiącym podświadomie w ludzkiej naturze i łączącym nas ze splotem sił zewnętrznych naokoło nas, może być pewny, że cel swój osiągnie. W mojej karjerze scenicznej zrazu zaczęłam się uczyć śpiewu, ale porzuciłam go, skoro spostrzegłam, że to mi „nie idzie".

— Ale jak dokonał się zwrot w kierunku badań podróżniczych? — zapytałam.

— Skierował mnie do nich przypadek. Pierwszą podróż do Indyj (zawsze zresztą miałam pociąg do podróżowania i już poprzednio zwiedziłam całą Europę i Afrykę północną) przedsięwzięłam w celach leczniczych. W czasie tej podróży zabłądziłam sama w dżungli i dostałam się do klasztoru buddystów, gdzie przebyłam dłuższy czas i poznałam filozofję Buddy dzięki jednemu z zakonników, który znał język angielski. Był to pierwszy błysk świadomości mojego przeznaczenia, pierwsze oświetlenie drogi, jaką miałam odtąd pójść. Uczułam mocno, że muszę do Indyj powrócić.

Od tego czasu podróżowałam wiele, prawie samotnie. Przemierzyłam konno i pieszo Małą Azję, Mezopotamję, Persję, Ladak, Kaszmir, Tybet, Dekan — ostatnio w r. 1929 Turkestan i łańcuchy Pamirów, śladami wielkiego badacza polskiego śp. Bronisława Grąbczewskiego. Powróciwszy do Europy, do Rzymu, gdzie większą część roku mieszkam (p. Mrozowska jest żoną miljonera włoskiego, dyrektora banku w Medjolanie), zamykałam się i przeżywałam długie, samotne miesiące, przygotowując prace do druku. Uważam, że największej siły potrzeba na wytrzymanie samemu z sobą. Nauczyłam się tego w ciszy pustyni i w głębi dżungli, nie widząc całe miesiące białego człowieka.

Słucham opowiadania z podziwem i zachwytem, a zarazem z pewnym wstydem, że Polska dotąd niewiele interesowała się eksploracjami niezrównanej podróżniczki, która prawie nie mając naukowego przygotowania zdobyła za swe świetne odkrycia srebrny medal Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Rzymie, której imię związało się z nazwą odkrytej przez nią drogi od jeziora Zorkul do Portu Pamirskiego. Malowniczy opis przygód p. Toeplitz-Mrozowskiej pozwala choć w części zrozumieć ogrom niebezpieczeństw i wrażeń, jakie daje taka osobliwa wędrówka.

— Nie zapomnę nigdy potężnego uczucia, — opowiada pani Mrozowska — jakiego doznałam, oglądając po raz pierwszy łańcuch gór Hindukusz. Posuwałam się sama przełęczą Maz na południe od doliny rzeki Szah-Daria w stronę Zorkulu. Było mglisto, otaczał mię gęsty obłok oparów, tak, że nic dokoła nie widziałam. Nagle wicher rozgarnął mgły i ukazał mi się w całym swym majestacie śnieżysty łańcuch Hindukusz czyli Orzeł Indji...

...Pewnego dnia jechałam konno nad jeziorem Karakul, szukając brodu — mam bowiem zwyczaj iść pierwsza w szeregu moich towarzyszy. Na brzegu jeziora znajdowała się mała łacha piaszczysta, po której stąpał mój koń. Niespodzianie koń zapadł się po brzuch w głąb gruntu. Nazajutrz udałam się sama pieszo na to miejsce, chcąc zbadać przyczynę tego dziwnego faktu i wpadłam po pas w podziemny dół. Przekonałam się później, że nie były to piaski lotne, w które człowiek zapada się powoli, ale t. zw. przez tubylców „piaski zgniłe", ukrywające wewnątrz wydrążenia w gruncie.

...Groźne było raz moje spotkanie z wilkiem, kiedy odłączyłam się od karawany. Miałam przy sobie tylko mały rewolwer, którym trudnoby wilka ustrzelić. Nie widząc sposobu obrony, zatrzymałam tylko konia. Wilk przypatrywał mi się długo, potem odszedł spokojnie.

— Czy podziałała nań siła wzroku? — pytam, podejrzewając p. Mrozowską o zgłębienie nieznanych tajemnic fakirów.

— Nie, sądzę, że wilk był syty — odpowiada śmiała podróżniczka z prostotą. — Innym razem spotkałam się z panterą...

Chciałoby się porozmawiać z p. Mrozowską przynajmniej kilka godzin, ale niestety wszystko, a zatem i wywiad dziennikarski ma swoje granice. Jednakże z niedługiej tej rozmowy unieść już zdążyłam to, co było w niej najważniejsze: przekonanie, że moc woli, wiara we własne siły i jasne określenie swego celu może znacznie więcej, niż w teoretycznych przewidywaniach możnaby przypuszczać. Pamiętać o tem warto nietylko tym, co zdobywają karkołomne szczyty i przemierzają własnemi nogami pustynie — ale każdemu, w każdem zadaniu i na każdem miejscu.

MICHALINA GREKOWICZ

NAOKOŁO ŚWIATA W JEDEN DZIEŃ

DWADZIEŚCIA MINUT podróży *taxi*, lub *metrem*, z serca stolicy świata, z placu Opery, przenosi nas w krainę baśni. Nad jeziorem i w sąsiedztwie lasku Vincennes powstały pałace wschodnie, wspaniałe minarety, świątynie Dalekiego Wschodu, pagody i domki z laki, pałace afrykańskie i całe miasta zabudowane egzotycznemi budynkami o okrągłych kopułach i zębatych murach.

Od Algieru do Afryki zachodniej, od Gwadelupy do Martyniki przebywa się w przeciągu kilkunastu minut w myślach dzielące nas morze Śródziemne, ocean Atlantycki, a nawet Pacyfik, docierając do Tahiti, by w powrotnej drodze zaczepić o Beyrouth, a następnie przez kanał Sueski, jadąc wzdłuż morza Czerwonego, znaleźć się na Madagaskarze.

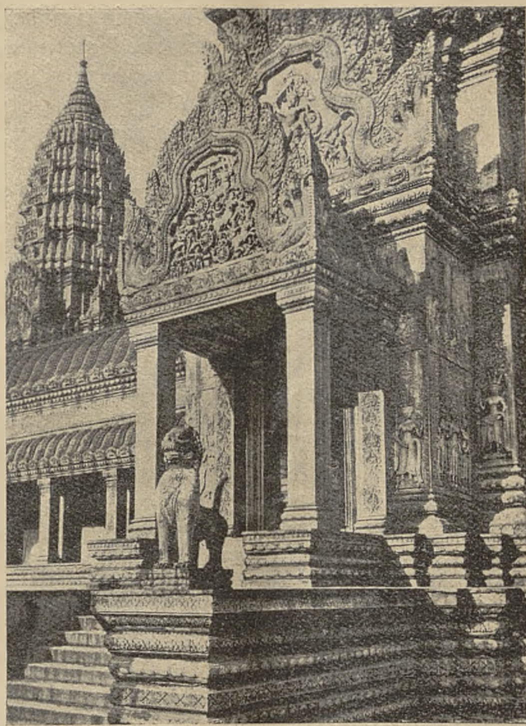
Odbywając tę uroczą podróż naokoło świata, robimy jeszcze kilka kroków zaledwie, przebywając w ten sposób ocean Indyjski i jesteśmy w Indochinach.

Prześliczne palmy i cyprysy dopełniają tej przecudnej ferji linij i barw. A mieszanina ras, egzotycznych strojów, języków i narzeczy stwarza niezwykłą wizję jakiegoś snu.

Nad tem wszystkiem króluje wspaniała świątynia z Angkory, jakby żywcem przeniesiona, pozostawiając niezatarte wrażenie nawet u tych, którzy „wszystko widzieli".

Z najwyższego piętra tego gigantycznego klejnotu-świątyni widok jest zadziwiająco różnorodny i fantastyczny.

Jeżeli jeszcze w ciągu uroczystości i zabaw zobaczymy tańce rytualne i święte obrządki, sprawowane przez prawdziwych tuziemców tych wszystkich części świata, na tle owych dziwacznych budowli i przewspaniałej iluminacji o różnorodnej grze kolorów, będziemy mieli całość jakby „Z tysiąca i jednej nocy".



Fragment najwyższego piętra świątyni z Angkory

Tak się przedstawia nie w bujnej wyobraźni lecz w rzeczywistości Międzynarodowa Wystawa Kolonjalna, którą w dniu 6 maja otworzył prezydent Republiki Francuskiej, Doumergue, w nowowybudowanym, reprezentacyjnym gmachu Muzeum Kolonjalnego, przy udziale kilku tysięcy osób elity francuskiej i zagranicznej.

Uroczyste otwarcie wystawy zaczęło się krótkiem przemówieniem prezydenta Doumergue'a, po którem udzielił głosu marszałkowi Lyautey, jeneralnemu komisarzowi wystawy, którego genjusz organizacyjny i wielkie doświadczenie stworzyło tak potężne dzieło o nieprzemijającej wartości. Wystawa Kolonjalna jest bowiem nietylko wspaniałem widowiskiem, lecz również wielce pouczającą lekcją o dalekich krainach, nieznanych i niewidzianych, oraz tuziemcach ze wszystkich części świata, z ich sztuką, z ich przemysłem i produkcją ich gleby.



Indochiny (Kochinchina)

Następnie przemawiał, w imieniu miasta Paryża, Jean de Castellane, prezes rady miejskiej, a po nim, minister kolonij, Paweł Reynaud zakończył swem przemówieniem podniosłą uroczystość przy długotrwałych oklaskach licznie zebranej publiczności, a prezydent Doumergue doniosłym głosem powiedział:

„Panowie, oznajmiam, że Międzynarodowa Wystawa Kolonjalna jest otwarta".

Dnia następnego wystawa została otwarta dla publiczności inauguracją działu stołecznego, której dokonał marszałek Lyautey w towarzystwie ministra kolonij. W dniu zaś 8 maja odbyła się inauguracja działu wystawowego Holandji, w dniach następnych innych państw przyjmujących udział w wystawie, jak Belgja, Danja, Italja, Stany Zjednoczone i Portugalja.

Z pośród wymienionych państw zasługują na wyróżnienie Stany Zjednoczone i Italja.

Główny gmach Stanów Zjednoczonych jest najściślejszą reprodukcją starego domu rodzinnego Jerzego Waszyngtona w Mount Vernon.

Wewnątrz gmachu podziwiamy prześliczne motywy architektury, ślicznie rzeźbione kominki i schody z danej epoki, oraz moc przedmiotów pamiątkowych. Na drugiem piętrze znajduje się pokój z całkowitem umeblowaniem, w którym przez dłuższy czas zamieszkiwał w 1793 roku słynny bohater, margrabia francuski, Lafayette, szef sztabu jeneralnego Waszyngtona.

W domu tym często przebywali nasi i amerykańscy bohaterowie, Tadeusz Kościuszko i Kazimierz Pułaski. Mimowoli nasuwa się pytanie, dlaczego nasza „przesławna propaganda" nie wykorzystała tej okazji i nie postarała się o zgromadzenie pewnych pamiątek z tych czasów po bohaterach, z ich portretami z tego okresu, by w ten sposób zapoznać miljony osób, które zwiedzą wystawę, z Polską, jej wielkimi synami, którzy walczyli „Za waszą i naszą wolność". — Za przykład powinni nam posłużyć Francuzi, którzy z takim pietyzmem zgromadzili wszystkie pamiątki dotyczące osoby Lafayette'a. Przypuszczam, że przy odrobinie dobrych chęci dałoby się choć w części błąd naprawić.

W dwóch wielkich pawilonach znajdują się, prócz historji cywilizacji, oraz ekspansji 48 stanów, złączonych pod gwiaździstym sztandarem, wystawy Alaski, Filipin, Panamy, wysp Dziewiczych i strefy kanału Panamskiego, wysp Samoańskich, Marjańskich.

Italja jest reprezentowana reprodukcją Bazyliki Septima Severa, której ruiny zostały niedawno odkryte w Leptis Magna, w Trypolisie. Monumentalny ten gmach jest dziełem słynnego architekta-faszysty Brasini'ego. Prócz tego są dwa pawilony stylowe, według projektu architektów Lombardi'ego i Tiri'ego, których wnętrza wykonał artysta-malarz Prampolini. — W pierwszym pawilonie znajdują się wszelkiego rodzaju dokumenty dotyczące kolonizacji włoskiej, począwszy od ery chrześcijańskiej. Drugi pawilon jest poświęcony wytwórczości współczesnej kolonizacji.

Otwarcia wystawy włoskiej ma podobno dokonać sam Duce, Benito Mussolini.

T. Z. HANUSZ (Paryż)

WYSTAWA MORSKA

STRASZNIE RAD JESTEM, że właśnie w lwowskiem piśmie mogę pisać o morzu. W nadpełtewskim grodzie spodziewam się bowiem znaleźć czytelników wdzięczniejszych, niż gdziekolwiek indziej w Polsce. Na bałtyckiej plaży od Helu po Karwię co drugie z przysmażających się w słońcu ciał stanowi doczesną własność jakiegoś lwowianina; urocze okeanidy w gumowych kapturkach i trykotach, kuszące mnie za sobą w odmęt zgrzywionych fal Bałtyku, były to przynajmniej w dziewięćdziesięciu procentach lwowianki. Ktoś złośliwy mógłby wyciągnąć z tego wniosek, że córy halickiej ziemi są szczególnie skłonne do kusicielstwa, ale ja w tem chcę widzieć tylko serdeczne umiłowanie morza przez Lwów.

Warszawa? Boże pożal się! Warszawiak wypowiada stek kalumnij o naszym kochanym Bałtyku, oświadcza, że jeśliby miał jechać nad morze, to tylko na Riwjerę i wreszcie wyjeżdża do Zakopanego, aby dostarczyć Makuszyńskiemu nowego tematu do Listów. — Jeżeli ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości co do stosunku Warszawy do morza, to stracił resztkę złudzeń, zwiedziwszy Wystawę Morską w Dolinie Szwajcarskiej. Chętnie użyłbym dobitnego wyrażenia: „ani psa z kulawą nogą", lecz byłoby to nieścisłe, gdyż psów zarówno zdrowych jak i ułomnych nie wpuszczają na wystawę, a zresztą było trochę osób w pawilonach; policzywszy dokładnie, półtora osoby z przesadą, a bez przesady 15, no, dwadzieścia osób.

Cóż z tego, że nawprost wejścia lśni w długiej szopie szereg świeżutko lakierowanych samochodów Państwowych Zakładów Inżynieryjnych „Ursus", na których, jak głosi napis, można dojechać aż nad polskie morze. Warszawianin, którego stać na takie krajowe auto, zamiast pomknąć śliczną szosą do Gdyni, będzie wolał skręcić kark na drodze do Morskiego Oka, a ja będę i tak musiał korzystać z bardziej staroświeckich środków lokomocji. Mijając tedy stoisko „Ursusa", wchodzę do pawilonu marynarki wojennej, gdzie na samym wstępie potężna torpeda mierzy wprost w pierś przybysza.

W przystrojonej flagami różnych egzotycznych państw sali pełno okrętowego sprzętu. Dziwne nazwy z powieści Londona i Conrada realizują się nagle w stali, w drzewie, w skrętach konopnych pasm. Sekstanse, protraktory, logi, sondy, kotwice, bloki, odbijacze w różnych wielkościach leżą pod ścianami. Spogląda na nie z jednej strony trochę zpodełba główny kompas, z drugiej potężny skafander z uwieszonym na szyi blokiem żelaza, niby potworną kłódką. Przy wyjściu oryginalny eksponat: model łodzi podwodnej, którą zbudował prywatnemi środkami jakiś były podoficer marynarki niemieckiej i ofiarował rządowi polskiemu pod nazwą „Odpowiedź Trewiranusowi". Z łodzi wprawdzie, jak mnie poinformował dyżurny marynarz, wielkiej pociechy nie będzie; niemniej sam fakt prywatnej inicjatywy na taką skalę jest bardzo charakterystyczny.

Minąwszy nieodmienny na każdej wystawie szereg box z „pamiątkami" i cudownemi „wynalazkami" w rodzaju „korka, który nigdy nie przelewa", pośpieszam do głównego pawilonu, mieszczącego się w gmachu Doliny.

Rozwieszone mapy wskazują, że jeśli nie byliśmy narodem pędziwiatrów, to przecież niema bodaj takiego zakątka, do któregobyśmy na chwil parę nie zajrzeli. Ba, tu i ówdzie zostawiliśmy po sobie wspomnienie w postaci jakiejś nazwy, nad którą cudzoziemcy łamią sobie pewnie język, o ile jej sprytnie nie zastąpili inną, bardziej przystępną dla ich fonetyki. — Że podróże te nie są iluzją, świadczą o tem wystawione w stoisku Związku Pionierów Kolonjalnych zbiory dra Freyda. Łuki, oszczepy o poczerniałych ostrzach (może to przyschła krew „Białych Twarzy"), strzały, miecze byłyby dwadzieścia lat temu wzbudziły we mnie niesłychany entuzjazm; obecnie z większem zainteresowaniem przyglądam się cudownym spódniczkom z papuzich piór. Czemuż to nasze panie nie noszą tak barwnego, radującego oko i tak stosownego na czas letniej kanikuły stroju? Nie mówię już na ulicę, lecz choćby jako ozdobę do plażowego kostjumu. — Przy sposobności dowiaduję się o naszych pretensjach do byłych kolonij niemieckich. Jestem człowiekiem bezpretensjonalnym i chętnie zrzekłbym się pretensji za kawałek Kamerunu; ostatecznie jestem gotów z nich skwitować nawet za Prusy, choć to zawsze przyjemność mieć trochę czarnych Polaków, których ciemna barwa skóry nie pochodzi z niedomycia. — W pustą salę wpada rozgwar młodych głosów. Przyszła zwiedzić wystawę wycieczka jakiejś szkoły żeńskiej z prowincji. Oprowadza je przewodnik, prawdopodobnie student warszawskiego uniwersytetu.

— Okolice te — zaczyna uroczystym głosem, zatrzymując się przed jakiemiś zdjęciami — są to, jak paniom wiadomo z geografji, tereny morenowe.

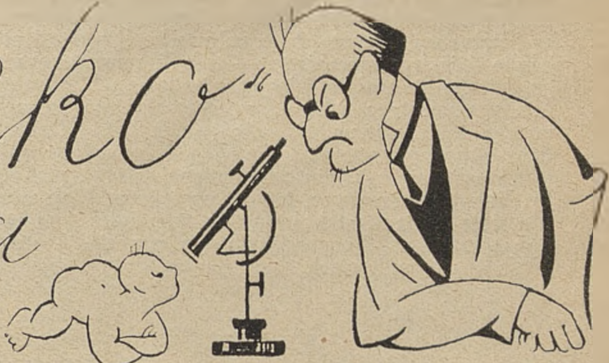
Panienki w śmiech. Przewodnik jest skonsternowany. Dobrze mu tak. Co za absurd w parne popołudnie, podczas wycieczki, apelować do podręcznikowej wiedzy. Nie nato jest wycieczka, żeby panienkom było coś „wiadomo z geografji".

Nastrojowe fotografje z nad morza Plater-Zyberka budzą cały rój wspomnień z najcudniejszych chwil, przeżytych nad Bałtykiem. Trzeba tylko wypełnić ten czarnobiały obraz całą gamą barw, w jakie zwykł się stroić Bałtyk. Bałtyk, niby różowy opal w sierpniowe zamglone poranki, lazurowy w bezobłoczne dni lipca, mieniący się granatem szafirów i zielenią szmaragdów, to znów brunatno szary, osrebrzony pianą załamanych fal, lub wreszcie ciemny całkiem, atramentowy, prawie czarny, przewalający potworne zwały już zda się nie wody, lecz lawy. I wychwalać mi przy takiem morzu Śródziemne, co świątek i piątek przywdziewa tę samą wiecznie, opatrzoną już, błękitną sukienkę. Wspomnienia gasną w Salonie Marynistów Polskich. Miałem przed chwilą przed oczyma Bałtyk w jego wciąż zmiennej krasie barw. Jakże daleko od nich odbiegły farby palety. Ta zieleń przypomina polewę garnków a rozsypane po niej kłębki waty, niby azbestowy śnieg na choince ma imitować pianę. Pamiętam, jak zwalił się na mnie taki kłębek waty, jak mnie w jednem mgnieniu oka rozłożył na dnie i nakarmił dosyta piaskiem; innym znów razem, w przystępie łaskawości, już goniącego ostatkiem sił z niedoszłą, pięćdziesięciokilową topielicą pod pachą, wyniósł na grzbiecie i osadził na mieliźnie, gdzie można było nabrać nowych sił. Inaczej to wyglądały te kłębki waty, całkiem inaczej. Im mniej morza na obrazie, tem bardziej mi się podoba. Przyglądam się tedy „Żarnowcom" Krzyżanowskiej i „Sieciom" Słupskiej. Szkoda, że niema tu studjów miłej lwowianki Czarneckiej-Lewakowskiej, która właśnie w tym czasie wystawia swoje prace w salonie Garlińskiego. — Rozstawszy się bez szczególnego żalu z polskimi marynistami, z których poza Nałęczem żaden nie zwraca szczególniejszej uwagi, powracam do stoiska stoczni. Nęcą oko luksusowe motorówki, lecz kto chce naprawdę „rozkoszy użyć", niech się raczej puści żaglowym kajakiem proj. inż. Paulyego. Szczęśliwej podróży do Szwecji! A z „wściekłym psem", jak marynarze zowią Bałtyk, żartów niema; można podobno ocean przepłynąć, a utonąć na tem skromnem nibyto polskiem morzu. Inżynier Pauly jest kierownikiem warsztatów szkutniczych dla uczniów szkół średnich. Umieszczony na wystawie warsztat wyrabia napoczekaniu piękne modele łodzi i okrętów. — Wieczorem występ rewjowego teatru „Wesoły Wieczór". Zgrabne uczennice szkoły tańców T. Wysockiej swemi lekkiemi kostjumami wywołują niewątpliwie iluzję plaży, lecz że właściwie z wystawą nie mają nic wspólnego, opuszczam Dolinę, bolejąc nad małem zainteresowaniem, jakie budzą sprawy związane z morzem.

S. ESSMANOWSKI



„dziecko” (rozprawa naukowa)



Instytucja dziecka jest stara niemal tak jak człowiek. Mówię niemal, bo jednak pierwsze wydanie człowieka, które się ukazało nakładem własnym Autora w dwóch egzemplarzach, — myślę o Adamie i Ewie, — nie przechodziło przez okres dzieciństwa. Pozatem jakże mało jest ludzi, którzy nie byli dziećmi! Hołdując metodzie eksperymentalnej, starałem się niejednokrotnie zbadać przeszłość znanych mi brodatych i łysych panów i zawsze w rezultacie dowiadywałem się, że kiedyś ważyli oni 5 kg i nie mieli ani bród, ani łysin. Twierdzeniu memu o powszechności dzieciństwa nie przeczy fakt, że czasami rodzą się ludzie z brodami i łysinami, bowiem brody te są pozbawione zupełnie zarostu, zaś łysiny pokryte są drobnym puszkiem, który zczasem zamienia się w mniej lub więcej bujne owłosienie.

Historyczna dawność dziecka upoważnia mnie do twierdzenia, że znali je nietylko starożytni Grecy i Rzymianie, ale również ludy zgoła pierwotne i historycznie niezbadane. Dziecko jest więc stare jak świat, lecz te miljony lat, które sobie liczy, nie przeszkadzają mu być młodem, co je upodabnia do kobiety, która również nigdy się nie starzeje. Wogóle dziecko ma wiele wspólnego z kobietą. Ograniczę się do podkreślenia skłonności do pieszczot, szczebiotania, płaczu, cukierków i upadku.

Poco istnieją dzieci?

Na pytanie to naprawdę nikt jeszcze wyczerpująco nie odpowiedział. Bo przecież nie można brać na serjo banalnego twierdzenia, że dzieci to przyszłość narodu i że ten wzgląd rozstrzyga o świadomych aktach woli i czynu, stających się powodem istnienia dziecka. W chwili decydującej o powstaniu dziecka instynkt narodowy gra rolę zgoła podrzędną. Teorja o celowości dziecka jest dorobioną ex post i ma na celu uzasadnienie racji bytu tego, co się staje mimo, lub wbrew woli.

Faktycznie, dzieci są niepotrzebne.

Dużo konsumują, a to, co produkują, nie ma żadnej wartości użytkowej i nikomu nie daje satysfakcji. Chyba, że kto lubi pranie. Ja bo nie.

Dzieci dużo kosztują, dzieci są utrapieniem rodziców, dzieci zatruwają życie, dzieci się nie chcą uczyć, dzieci drą ubrania, dzieci zdradzają nasze tajemnice, dzieci połykają szpilki, kałamarze i piją atrament, dzieci tłuką szyby, lustra i nosy, dzieci urywają skrzydła muchom, dzieci krzyczą wśród nocnej ciszy, dzieci wzniecają pożary, dzieci spadają z 4-go piętra, dzieci nie chcą się myć, dzieci ciągną koty za ogony, dzieci chorują na szkarlatynę, dzieci zadają niedyskretne pytania, dzieci przeszkadzają w pracy, dzieci depcą trawniki, dzieci wpadają pod tramwaje, dzieci się rodzą, dzieci dorastają, dzieci mają dzieci...

Uf! Tchu mi zabrakło! Czego dzieci nie robią!? A wszystko rzeczy albo niepotrzebne, albo szkodliwe, albo wręcz zbrodnicze. A jednak ludzie mają dzieci, bo nie mają rozumu. Gdyby mieli więcej doświadczenia, gdyby rozumieli, jakie szkody wyrządza dziecko, gdyby przeczytali moją rozprawę i poznali moje dzieci, — raz na zawsze zerwaliby ze zgubnym nałogiem rodzicielstwa. Cóż, kiedy wiedzę zdobywa się dopiero z wiekiem, to też dopiero pary, zawierające związki małżeńskie po 60-tym roku życia, nie mają dzieci.

Nieraz zastanawiałem się, czy postęp techniki, jakiego jesteśmy świadkami, nie uczyni dzieci pożytecznemi. Przecież krzyk dzieci, zamieniony zapomocą jakiegoś transformatora na energję mechaniczną, mógłby poruszać młyny, traktory, koleje żelazne, tramwaje, fabryki i t. p. Przecież z łez wylanych przez dzieci — (rzadko pijam łzy, ale wiem, że są słone) — możnaby wydobyć tyle soli, że słono sprzedana mogłaby postawić na nogi nasz bilans handlowy. Przecież umiejętnie eksploatowana tendencja dzieci do plamienia płótna mogłaby zdecydowanie podnieść nasz przemysł farbiarski. Niestety, — jakby słusznie powiedział Słonimski, — nasi technicy i chemicy mają czas zajęty konstruowaniem łodzi podwodnych, produkowaniem gazów trujących i innych narzędzi śmiercionośnych, które będą korzystać z dzieci dopiero wtedy, gdy te staną się dorosłymi i pójdą na front.

Rozprawa moja nie byłaby wyczerpującą, gdybym nie scharakteryzował roli dziecka w literaturze i słownictwie. W bezczelności swojej dziecko zdra-dziecko wtargnęło do powieści. Dawniej uczciwa powieść kończyła się momentem aktywnego zatroskania się kochanków o przyszłość narodu, chwilą komunji dusz i zbratania serc. Czytelnik do-



myślał się wprawdzie, że, gdy od chwili tej patrjotyczno-mistycznej ekstazy dziewięć razy księżyc odmieni się złoty, usłyszą kochankowie dziecięce szczebioty, — jednak samego dziecka nie widział i jego losów nie znał. Nie pragnął tego zresztą, wystarczały mu zresztą dzieci własne. Dziecko jednak zażądało równouprawnienia. Nie chciało pozostawać dłużej w cieniu zapomnianej olszyny, literaturę uznało za miasto swojej matki i z całą furją zaatakowało ten przylądek dobrej nadziei. Rozpanoszyło się wszechwładnie w powieściach, co ma ten dobry skutek, że zmniejszyło nieco swą frekwencję w życiu.

Słowo „dziecko" ośmieliło się do tego stopnia, że nie lęka się już sąsiadować ze słowem „panna", zerwało natomiast wszelkie stosunki towarzyskie ze słowem „bocian". Dzieci współczesne bowiem orjentują się doskonale w trybie życia tego długonogiego ptaka i nie wierzą w jego interwencję w sprawy ich bytu. W bociana dzisiaj wierzą jeszcze tylko dorośli.

Dziecko w zdobywczym pochodzie zapragnęło upodobnić się do Akademika i Ligi Obrony Przeciwgazowej Państwa. Że akademikowi dziecko może zawdzięczać swoje istnienie, — to zostało już naukowo stwierdzone. Nie dziwi mnie więc posiadanie wspólnych z nim ambicyj. Związku jednak bezpośredniego dziecka z gazami trującemi nie widzę. Faktem jednak jest, że akademik, gazy trujące i dziecko mają swe „Tygodnie".

Tygodnia Dziecka nie uznaję i na znak protestu właśnie napisałem niniejszą rozprawę naukową, dzięki której, — nie wątpię, — nazwisko moje złotemi zgłoskami zostanie zapisane w historji nauki polskiej.

J. CZYŚCIECKI

PIERŚCIEŃ Z SOLITEREM

4)

— Dobrze, kupię ci krawat, ale idź już sobie.

— Jużem z tamtej strony. Adiu, Fruziu.

Po wyjściu brata Hanka zamknęła drzwi i zaczęła się gorączkowo przebierać. Wyciągnęła z zamka bezpiecznik, otworzyła szufladę i wyrzucała kolejno na łóżko: krepdeszynową kombinację koloru saumon, rozszywaną hojnie gipjurą koronek; wykwintne, jedwabne pończochy perle-gris; pasek do podwiązek; czarne atłasowe pantofelki; długie rękawiczki glacée; z szafy, też zamkniętej na klucz, wydobyła wieczorową suknię z żorżety ciemnowiśniowej i dessous z różowej crêpe de Chine.

Była zaniepokojona tem, co usłyszała od brata o Sikorskim.

— Na ten raz — myślała, ubierając się — Jasiek mu zamknął usta, ale takie spotkanie może się powtórzyć. Jak nie on, to kto inny; zaczną gadać. Niech ich... Niech gadają i z tem sobie da radę. Co ją ostatecznie te kumoszki obchodzą? Jasiekby nie mógł się już pysznić siostrą przed szynkowymi kompanami. Patrzcie, co za troskliwość o jej cnotę. Żeby tak na swoim punkcie miał tę rodzinną ambicję. — Przypomniała się jej rozmowa z bratem — Pan Bóg wie, z kim on się pokumał. Ten jego pomysł... Eh, to tylko takie kinowe fantazje. Dzieciuch jest jeszcze. Dwadzieścia lat dopiero — broniła brata przed samą sobą. — Za rok wezmą go do wojska, to mu tam wywietrzeją z głowy głupstwa.

Obciągała suknię.

— Cudownie leży — stwierdziła z zadowoleniem. — O tak — znów wróciła myślą do rozmowy — łatwo mieć ambicje na cudzy koszt.

Zadowolony, że ma siostrę damę, choć nie poszła na cudze utrzymanie. Naiwny. To co zarabiam, sumiennie ode mnie wycisną.

Na jedną sukienczynę na rok nie starczyłoby. Ciekawam, czy gdyby teraz mnie zobaczył, domyśliłby się, czy nie. Chyba. Ale dałby sobie wyperswadować. Na pewno, trzebaby mu tylko częściej jakiś papierek wsunąć do ręki. Ojciec najmniejby się martwił, byleby rum miał. Może jedna matka?... Ale matka ostatnio tyle przeszła, że teżby ręką machnęła. — Już takie to i czasy — powiedziałaby. — Ciężka nasza dola. Niechże ci Pan Bóg odpuści, dziecko, a mnie starą zato pokarze. — Tak, nie o nich chodzi, lecz gdyby Jerzy... — Hanka wzdrygnęła się nagle i wypadł jej z rąk karmin, którym różowała wargi. — Nie! Nigdy, przenigdy! Nie zrozumiałby, że ona to przecież tylko dla niego. Nie mogłaby nawet żądać, żeby zrozumiał. Lecz właśnie dlatego to się nie może stać. Za jej poniewierkę, za jej pracę, za jej upokorzenia należy się jej trochę szczęścia. Własny dom, kochany mąż, dzieci... Gdyby nie to, nie wytrzymałaby już; wolałaby w jednej sukience chodzić zimą i latem. — Wstręt ją nagły zdjął do wspaniałej toalety — ale nie miała innej drogi wyjścia. Nie, to niemożliwe! Jest przecież jakaś sprawiedliwość na świecie. To się skończy już niedługo, skończy się szczęśliwie. Lecz właśnie dlatego ona musi dziś pójść. Nic się złego nie stanie. Nic, nic, nic! — powtarzała uparcie, wsuwając na palce pierścionki.

Ale pomimo całej swojej wiary, że to się musi dobrze skończyć, Hanka czuła lęk przed każdą taką wyprawą. Drżąc nerwowo otulała się w skromne, codzienne paletko. Szybko przemknęła przez pokój rodziców. Z podniesionym kołnierzem palta szła śpiesznie, skręcając w coraz to inną ulicę. Po kilku minutach zatrzymała się i wsiadła do samotnie czekającego Roll-Roycea. W tej samej chwili szofer, nie pytając o adres, ruszył. Ściągnęła w aucie z siebie palto i zaczęła wkładać czarny, elegancki płaszcz obramowany srebrnym lisem.

III

Redukcja. — Słowo, co bruzdami zmarszczek rysowało się na czołach urzędników filji bankowej, w której pracowała Hanka, i gasiło uśmiech najbardziej beztroskiej ze stenotypistek. Początkowo mówiono o skasowaniu remuneracyj i trzynastej pensji. Wiadomość przyjęto niewesoło, lecz nie sarkano zbytnio, rozumiejąc ciężką sytuację, w jakiej znalazła się, dobrze zresztą płacąca, instytucja. Wzmianka o dziesięcioprocentowem obcięciu pensyj wywołała już wyraźne przygnębienie wśród personelu, a wreszcie ciężką zmorą zawisło nad wszystkimi słowo — redukcja. Praca szła niby dawnym torem; w niezmienionem tempie klekotały underwoody i trzaskały arytmometry, lecz z głębi serc ściśniętych niepokojem o jutro, z mózgów strudzonych natrętną kalkulacją szans utrzymania się na powierzchni życia, wsiąkały w psychiczną atmosferę biur, niby produkty rozkładu, toksyny duchowego naprężenia. Zaprawiona goryczą podejrzliwość zmąciła koleżeńskie stosunki. Kobiety zawistniej zaczęły szperać w życiu koleżanek i zjadliwiej przenicowywać każdy najdrobniejszy fakcik; mężczyźni, bardziej milczący, skrupulatniej obliczali wzajemne pensje, poboczne dochody; porównywali ciężary rodzinnych obowiązków, efektywność pracy, a przedewszystkiem perspektywy „pleców". Ten ostatni wzgląd mógł przekreślić wszystkie rachuby.

— Ja, czy on? — pytali się wzajem stroskanym wzrokiem.

Rozstrzygnięcie tego pytania zaskoczyło i pogodziło równocześnie wszystkich. Spodziewana redukcja zmieniła się w zupełną likwidację filji. Wymówiono posady całemu personelowi biurowemu.

Hanka kończyła właśnie stenogram listu, w którym dyrekcja zawiadamiała pracowników o rozwiązaniu umowy.

— To wszystko, panie dyrektorze? — spytała, podnosząc się od biurka.

— Tak, to byłoby narazie wszystko. Ale pozatem mam jeszcze do pani inną sprawę, natury osobistej.

— Słucham.

— Proszę, niechże pani siada. Jest mi niezmiernie

przykro — ciągnął dalej, — że musimy się rozstać. Przez przeciąg dwu lat, które pani spędziła u nas, miałem sposobność ocenić w pani pierwszorzędną siłę biurową i gdyby to ode mnie zależało, nigdybym się nie pozbył takiej pracownicy... Ale o tem wogóle w tej chwili nie warto już mówić. Od komplementów, — uśmiechnął się — zresztą najbardziej zasłużonych, przejdźmy do rzeczy realniejszych. Jak pani wiadomo, a raczej — poprawił się — jak dowiaduje się pani w tej chwili, przenoszę się w związku z likwidacją filji do jednego z prowincjonalnych oddziałów naszego banku. Gdyby pani chciała powędrować w charakterze mojej sekretarki, to możemy tę sprawę uważać już za załatwioną.

— Serdecznie dziękuję, panie dyrektorze. Jestem doprawdy wzruszona dobrocią pana dyrektora. Ale, niestety, stosunki rodzinne tak się układają...

— Tak, tak — przerwał jej dyrektor. — Przypuszczałem, że propozycja moja nie będzie dla pani dogodna. Nie, nie. Proszę się nie tłumaczyć. Rozumiem doskonale. Przecież my wszyscy nie zależymy wyłącznie od siebie. Robiąc pani tę propozycję, spełniłem niejako swój obowiązek tylko i choć byłbym rad, gdyby została przyjęta, nie mam najlżejszej pretensji, że ją pani odrzuciła. Proszę mi wierzyć. Przypuszczając, że spotkam się z odmową, nie zamierzałem jednak robić pani nadarmo apetytu. Byłoby to bardzo nieładnie z mojej strony. Co, nieprawdaż? — i dyrektor w tem miejscu uśmiechnął się zadowolony z własnej szlachetności. — Otóż mam dla pani inną propozycję, a właściwie wskazówkę. Może pani dostać posadę na miejscu.

Hanka odetchnęła z ulgą.

— Gdzie? — prawie krzyknęła.

— Zna pani dyrektora Sterna? Współwłaściciela Polimexu. Polska Spółka Importowo - Eksportowa. Taki wysoki, śniady brunet. Nasz klient. Musi go pani znać. Przecież to pani pisała niedawno tę umowę z Polimexem. Siedział u mnie w gabinecie i był zachwycony panią, to jest chciałem powiedzieć, pani zawrotną szybkością w pisaniu na maszynie. Prosił mnie, żeby, jeśli kiedykolwiek przestanie pani u nas pracować, skierować panią do niego, a niewątpliwie znajdzie się posada dla tak dzielnej pracowniczki.

— Doprawdy nie wiem, jak mam dziękować panu dyrektorowi za tyle dobroci...

— Ah, niema o czem mówić, panno Hanko. Spełniam swe zobowiązanie wobec Sterna, naszego dobrego klienta, a podwójnie mi miło, że mogę się pani przysłużyć. Adres Polimexu pani zna?

— Znajdę w książce telefonicznej. Jeszcze raz serdecznie panu dyrektorowi dziękuję.

— Niema za co, niema za co — dyrektorowi serce się rozpływało nad własną dobrocią. — Życzę powodzenia w Polimexie — ojcowskim gestem pogładził Hankę po łopatce. — No, no, wszystko będzie dobrze. Głowa do góry! A list proszę dać na Roneo. Na wszelki wypadek kilka egzemplarzy więcej. Nazwiska pani dopisze i przyniesie mi zaraz do podpisu.

— Rozkoszna bestyjka — mruknął dyrektor, gdy Hanka opuściła gabinet. Na dłoni czuł jeszcze miłe ciepło jej ciała okrytego lekką, letnią sukienką. — Ale to niełatwa sztuka, o niełatwa — ciągnął dalej w myśli. — Albo ja się nie znam na ludziach, albo Stern nie będzie miał z niej pociechy. Że ją widział na kolacji z Wrońskim, to jeszcze nic nie znaczy. A jeśli ona zostanie u Sterna?... No to ja jestem stary dureń, żem nie pomyślał wcześniej o tym kąsku — zakonkludował i utonął w korespondencji.

Zula, biurowa koleżanka i najlepsza przyjaciółka Glicówny, zaczęła się już na dobre niecierpliwić. Odprowadziła Hankę uroczyście pod sam dom, gdzie mieściły się biura Polimexu, poczem wstąpiła do niewielkiej cukierenki na najbliższym rogu, aby tam zaczekać na wynik rozmowy ze Sternem. Wypiła pół czarnej, zjadła dwa ciastka, przerzuciła kilka pism ilustrowanych, trzy razy upudrowała się i ukarminowała usta a Hanka nie wracała.

— Zjadł ją ten Stern, czy co? — myślała ze złością, po raz czwarty wyciągając z torebki karmin.

W tym momencie właśnie weszła Hanka i siadła przy stoliku. Była trochę zdyszana, jakby szybko biegła; żywy rumieniec zabarwiał jej policzki a delikatne nozdrza kształtnego nosa drgały nerwowo.

— Co?! Klapa? — spytała zdumiona Zula.

Hanka milczała.

— Ale jakżeż to? Przecież Stern sam miał prosić starego, żeby cię skierował do niego. Co, nie było go może?

— I owszem był.

— Nic nie rozumiem. Mówże dziewczyno, co się stało. Cóż Stern?

— Bydlę!

— Bydlę?

— Przyjął mnie bardzo uprzejmie — zaczęła opowiadać Hanka, opanowawszy wzburzenie. — Zaproponował mi odrazu załatwienie kilku kawałków, niby na próbę; nagadał całe mnóstwo komplementów na temat mojej wprawy, aż wreszcie dał mi do poznania, że ta posada sekretarki, to właściwie tylko dla zamydlenia ludziom oczu, że moje właściwe „obowiązki” byłyby natury bardziej osobistej. No i naturalnie — dodała z gorzkim uśmiechem — zaznaczył, że i uposażenie moje byłoby znacznie wyższe, niż zwykłej sekretarki.

— A ty cóż na to?

— Nie chciałam go sobie z miejsca zrażać, więc grałam na zwłokę. Udawałam, że biorę to za żart. Że pomówimy o tem potem i tak dalej. Rozumiesz?

— Aha, więc go brałaś na bajc, jednem słowem.

— Niby. Na posadzie mi zależało przynajmniej jeszcze na przeciąg kilku miesięcy. Przez ten czas byłabym sobie jakoś dała z nim radę. A potem, choćby mnie wylał, tobym już mogła gwizdać na to.

— Ale czy on oszalał, żeby z miejsca tak obcesowo się brać do ciebie. Rozumiałabym, żeby po pewnym czasie... Za kogóż cię ma znowu ten żydzielec?

— Za kogo mnie ma? Zaraz ci powiem. Ja sama byłam zaskoczona podobnem postępowaniem, ale kiedy zwróciłam mu na to uwagę, rąbnął prosto z mostu, że jeśli mogę z Wrońskim, to mogę z nim też i on na pewno nie okaże się mniej hojny. Zupełnie jakby szło o jakiś handlowy interes.

— Coś podobnego?!

— Chciałam na to wyjść z gabinetu. Wtedy przyskoczył do mnie, zaczął mnie gwałtownie przepraszać, prosić, żebym została, a kiedy zobaczył, że się waham, pociągnął mnie na kanapę...

— I co? — przerwała Zula, zemocjonowana opowieścią przyjaciółki.

— Nic. Trzepnęłam go po fizjognomji i poszłam.

— Dobrze zrobiłaś. Co za bydlę?! Ale posada się wściekła.

Hanka milczała, z trudem hamując łzy.

— Hanuś, kochanie moje — usiłowała pocieszyć ją koleżanka — nie można się zaraz tak przejmować. Pomyśl tylko, że i tak jesteś w lepszych warunkach od reszty nas. Wroński ma takie stosunki, bez trudu cię gdzieś ulokuje, a gdyby nawet nic się nie znalazło, to i tak nie da ci zginąć z głodu. To bardzo zamożny człowiek i gdybyś tylko się zręcznie wzięła do niego...

Hanka żachnęła się niecierpliwie:

— Ah. O posadzie przez Wrońskiego niema mowy.

Oddawna mnie już dręczy, żebym rzuciła biuro i... i całkiem poszła na jego utrzymanie. Ta likwidacja filji bardzo mu na rękę. Nie, z głodu nie zginę, o to niema najmniejszej obawy. Ale też nie o to chodzi. Ja muszę mieć posadę! — wysylabizowała z rozpacznym uporem. — Rozumiesz?!

— O rodzinę ci chodzi, co?

— Może i o rodzinę, choć mam wrażenie, że dałaby się nietrudno pocieszyć, lecz przedewszystkiem o Jerzego.

— Prawda! Na śmierć zapomniałam, że masz przecież narzeczonego. No, ale to trudno. Znajdziesz jeszcze dziesięciu takich, co zechcą się z tobą ożenić i nie każą ci parę lat czekać na ślub.

— Ależ ja go kocham przecież.

— Kochasz go?

— Do szaleństwa. Żyćbym bez niego nie potrafiła. Jest dla mnie wszystkiem. Jedynym celem mego istnienia. Zanim go poznałam, myślałam, że można żyć, ot tak z dnia na dzień, nie myśląc, co będzie za dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat. Ale to się nie da. Człowiek musi mieć jakiś cel dla któregoby żył. Chociażby skromny, mały, lecz starczący na całe życie.

— A jakiż twój cel jest, Hanuś?

— Oh, najskromniejszy z najskromniejszych. Taki sobie strasznie powszedni, mizerniutki, że nawet trudno o nim mówić. Aż za szumny wyraz — cel, na określenie moich pragnień. Widzisz — Hanka zaczerwieniła się i znać było, że jej niełatwo przychodzi mówić o najskrytszych swoich myślach i uczuciach. — Widzisz, chciałabym żyć razem z tym, którego kocham i dać mu szczęście, o którem marzy. Dać szczęście komuś, to przecież tak wiele, a tak łatwo, kiedy się kocha. Stworzyć dlań, no i dla siebie, dom. Dom a w tym domu — tu znów złoto-śniade policzki Hanki zabarwił ciemny rumieniec — a w tym domu taki rozkoszny skrzat, taki urwis o płowej czuprynce. Jednem słowem — rodzina, a skoro rodzina jest podstawą społeczeństwa, więc cele moje są społeczne. — Hanka niezręcznie starała się pokryć wzruszenie, patetycznie recytując zapamiętany frazes.

— Ty naprawdę chyba się zakochałaś?

— Chyba. — Hanka roześmiała się już swobodniej, jakby jej to wyznanie przyniosło ulgę.

— I nic mi do tej pory nie mówiłaś.

— Właśnie dlatego, że naprawdę jestem zakochana. Do tego trudniej jest się przyznać, niż do faktu, że... jest się czyjąś utrzymanką — ostatnie słowa wypowiedziała z gorzką pasją samoudręki.

— I dziś pewnie nie dowiedziałabyś się prawdy o moim faktycznym stosunku do Jerzego, gdybym nie była tak szalenie roztrzęsiona — dodała.

— A Wroński? — zapytała cicho Zula.

— Wroński — odpowiedziała niedbale. — Nie znałam wtenczas Jerzego. Oh, możesz nie wątpić; nie byłabym zdolna w takim wypadku. Powiadasz, że jestem w lepszych warunkach, niż reszta was. To są tylko pozory, ale dobrze, powiedzmy, że tak jest w istocie. A jak było, kiedy przyszłam do was? Każda z was ma jakiś punkt oparcia. Ma mieszkanie, ma utrzymanie i jeśli pomaga rodzinie, to w granicach swych dochodów; pamięta jeszcze i o sobie. A ja? O, moja rodzinka pamiętała tylko o sobie. Wyciągała ze mnie ostatni grosz. Jak ja wyglądałam przy was w tej wytartej sukienczynie, w starych, koślawych pantoflach, w pończochach, które były jedną wielką cerą. Czy ty myślisz, że ja nie widziałam tych krytycznych, lekceważących spojrzeń, jakiemi obrzucałyście mnie. Gdyby nie ten przeklęty psi mus, nie wysiedziałabym tu. Wiedziałam dobrze, skąd się biorą piękne toalety Loli, na jakie to „raty” nabyła Rena swoje futro.

— No przecież nie wszystkie — wtrąciła Zula.

— Racja, nie wszystkie. O tych innych „porządnych” zaraz pomówimy. Ale, czy tamte spotkały się z takiem lekceważeniem, jak ja? Kilka złośliwych uwag, szeptanych sobie na ucho, i na tem się skończyło. Może się miałam pocieszać swoją cnotą dziewiczą? Już przedtem uważałam to za przedpotopowy przesąd, przesąd, co jest, jak ostatni fort męskiej, egoistycznej tyranji, ostatni, całą potęgą opinji strzeżony, symbol ich dawniejszego panowania nad kobietą. Jakiem prawem wymagają od nas tego, czego nie dają sami? Czyż nie mam racji?

— Zasadniczo, tak — odparła Zula z namysłem — ale czy ty sama teraz nie wolałabyś?...

— Tak. Kiedy się kocha, to chciałoby się spełnić wszystkie pragnienia kochanego mężczyzny, choćby to były pozbawione logicznej podstawy dziecinne zachcianki. A mężczyzna to przecież wielkie dziecko. I dlatego, choć wywalczymy naszą zbiorową niepodległość, to indywidualnie pójdziemy w niewolę tych wielkich dzieci, by zkolei znów rządzić nimi. Jeśli mi dziś żal mego dziewictwa, to tylko dla niego. Ale wtenczas go nie znałam i nie mogłam się dopatrzeć w tej tak zwanej cnocie specjalnej wartości. STEFAN ESSMANOWSKI

(C. d. n)

NAJLEPSZA KSIĄŻKA DLA MŁODZIEŻY

SEWERYN PRZYBYLSKI: Goniec królewski. Powieść historyczna nagrodzona na konkursie m. Warszawy jako najlepsza książka dla młodzieży.

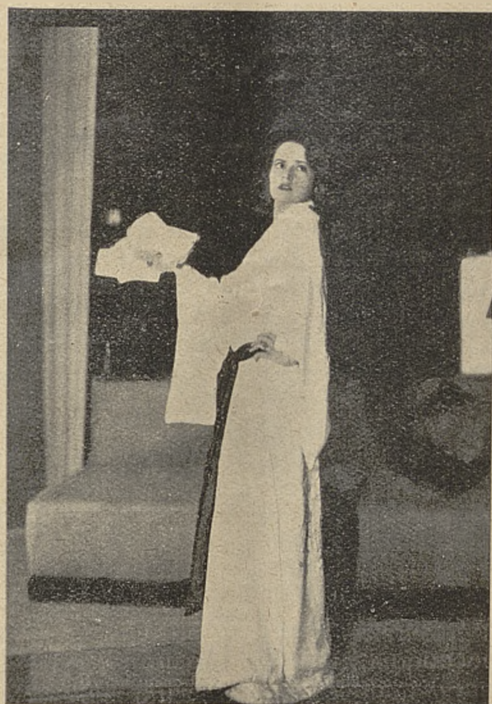
Istotnie, jest to najlepsza książka dla młodzieży, jaka pojawiła się od długich lat. Temat oryginalny, sięgający podstaw naszego bytu państwowego i żywotnych zagadnień trwających po dzień dzisiejszy. Treść wysoce zajmująca. Dzieje grodu przemyskiego, obleżonego przez Ruś, i związane z tem przygody Bolka, czternastoletniego syna Sulimy włodarza Przemyśla. Bolko, w wielkiem pragnieniu uzyskania dorosłości, po licznych, zabawnych niepowodzeniach zostaje gońcem królewskim i w szeregu poważnych już przygód zdobywa upragnione uznanie. Kompozycja książki jest prosta i przejrzysta. Język piękny w swej starodawnej jędrności, dobitny i obrazowy. Obfita nomenklatura słowiańska nie przeciąża książki, gdyż podana jest w sposób dostatecznie wyjaśniający, nawet bez obowiązującego słowniczka. Opisy życia, zwyczajów i obyczajów słowiańskich są wysoce pouczające. Ale najpiękniejszy jest duch tej książki. Najszlachetniejsze tradycje, odkryte przed młodzieżą, nawiązują do ideologji dzisiejszego skautingu czy przysposobienia wojskowego. Są dobrem wskazaniem, tem lepszem, że podanem w formie artystycznej, bez moralizatorstwa. Znać, że książkę pisał nietylko artysta, ale i wybitny pedagog.

Książka jest bogato ilustrowana przez Janinę Petry-Przybylską, z głębokiem odczuciem tematu i epoki. Zwłaszcza winiety i zakończenia rozdziałów są szczytem kompozycji ornamentalnej. Co do poszczególnych ilustracyj, żałować wypada, że nie wszystkie są kolorowe. Jednobarwne wyszły zbyt niewyraźnie. Natomiast plansze barwne są poprostu radością oczu. Np. taka scena przyjęcia gońców królewskich przez Mieszka I. W rozszczepieniu barw i świateł objawione — nawpół mityczne średniowiecze. Ilustracje Petry - Przybylskiej mają swój własny, odrębny styl i wyraz, wielkiej wartości artystycznej. JANINA OSIŃSKA

IBSEN I RADJO

DWIE PREMJERY W TEATRZE ROZMAITOŚCI

Wystawioną przez Leona Schillera Ibsenowską: „Heddę Gabler” dzieli od nas lat czterdzieści (1890). To studjum duszy czasu przełamane w pryzmacie duszy kobiecej — o dziesięć lat wyprzedza koniec twórczości, przedziwnie organicznej, wstępującej stopniami, piętrzącej się kondygnacjami aż do — świadomego epilogu. Dramaty Ibsena — jeden wielki dramat jego indywidualnego życia i czasu, w którym ono zostało dokonane — zawarły w sobie szczyt sztuki dramatycznej XIX w., jeden z najwyższych szczytów w literaturze dramatycznej świata. Jeśli wraca się do tego dramatu dziś po upływie niespełna pół wieku, czy to jest mało, czy wiele? Żyją przecież ludzie, którzy na sobie przeżyli wstrząs jego bezpośredni — więc to jest zdawałoby się: niewiele. Zdawałoby się: nie zbyt dalecy będziemy od ich reakcyj wzruszeniowych i myślowych. Tymczasem jest inaczej: konfrontacja chwili, która upływa z chwilą, która trwa zatrzymana w „Heddzie”, okazuje względność pojęcia czasu, ponad mechaniczną jego miarę, każe stwierdzić, że między temi chwilami minęło czasu o wiele więcej, niż się zdaje. Proporcje odczuwania są w niejednem odwrócone, niejedno z tego dramatu nie mieści się w kategorjach naszego myślenia i odczuwania. Trzeba się jednak porozumieć co do jednej rzeczy, którą omawiana premjera wyraża: skąd zwrot do Ibsena, skąd powszechniejsza tendencja w doborze repertuaru, ów „reibsenizm”, który objąć zdołał Paryż, Berlin, Wiedeń, a w Polsce znalazł jedyny bodaj wyraz na naszej scenie. Ma on rys charakterystyczny, wyłącza romantyczne dramaty z przeszłości narodowej, jak „Pretendenci do tronu”, i późniejsze: „Brand”, „Peer Gynt” jak i dramaty z ostatniego dziesięciolecia twórczości „Budowniczy Solness” czy „Eyolf”, w których nastawienie poety przybiera kierunek do wewnątrz, zrywa związek z otoczeniem, zarzuca obserwację. Święcą powrót do teatru dramaty Ibsena - naturalisty, Ibsena-oskarżyciela i sędziego swojej współczesności, twórcy „Upiorów”, „Nory”, „Dzikiej kaczki” i prawie granicznej dla tego typu „Heddy Gabler”. Pomijając silny nawrót naturalistyczny, tak właściwy współczesnym dążeniom artystycznym, pomijając silne akcentowanie konstruktywizmu w tych dążeniach, należy przyjąć podłoże głębsze reibsenowskiego prądu i głębszą rację przypisać inscenizacji lwowskiej. Między naturalistyczną twórczością Ibsena, tą, która tak oburzała i wstrząsała współczesnych, a czasem dzisiejszym zachodzi *tożsamość perspektywy historycznej*. To przeciw czemu Ibsen w samotnictwie swojem, w ostrej, nieubłaganej, oschłej niekiedy bezwzględności protestował — jest już dziś sprawą przezwyciężoną, ale na drodze rozkładu, samozniszczenia kultury przedwojennej. Jesteśmy dalecy od Ibsena, przez dokonaną i dokonującą się ewolucję konieczną form życia, jesteśmy bliscy przez poczucie bezpośredniego udziału, przez uznanie się ogniwem w tej drodze rozwojowej. W tem, zdaje mi się, tkwi sens reibsenizmu i sens realizacji „Heddy Gabler”. W tem też zdaje się zawierać nieuchronnie konieczna różność reakcji na ten utwór. „Hedda” stanowi już dokument, ale dokument o bardzo bezpośredniej żywości, kontrast, ale bez przejść dostawiony do naszego życia. Ibsen był w tem, co przedstawiał, my jesteśmy poza tem, ale w związku równie bliskim, żywym, aktualnym, jak on. Zmieniła się tylko lokacja.



Ewa Kuncewiczówna jako Hedda Gabler

Kompromis i zakłamanie życia we wszystkich płaszczyznach. — To były owe dwa macierzyste znamiona czasu, przeciw którym Ibsen, osobowość o wyjątkowym instynkcie etycznym, heroiczny fanatyk prawdy i za nią wieloletni banita z ojczyzny, walczył bez ustępstw. Formuła poglądu na świat, tak poprostu wyrażona przez Svanhildę (z „Komedji miłości”) stanowi także zasadę jego sztuki: iść drogą prawdy — drogą wyjawienia tego, co się tai pod osłoną fałszu, hypokryzji, przesądu, zakłamania, konwenansu, kompromisu ze sobą i społeczeństwem. Cała twórczość Ibsena jest zagadnieniem moralnem, w znacznej rozpiętości czasu: zagadnieniem moralno-społecznem. „Hedda” jest analizą psychologiczną duszy kobiecej — jedną z najsubtelniejszych, dokonaną na tle epoki aspołecznej, amoralnej, płytko estetycznej. Generalska córka, piękna, inteligentna, uczuciowo bujna, kobieta-człowiek pełny, nie mieszczący się w ramach tamtego życia, przerastający miarę konwencjonalnej kobiecości. Żywioł — w klatce. Winą Heddy jest i jej tragedją, że ulega naciskowi konwenansu, przymusowi towarzyskiego i etycznego kompromisu. Wystarcza jej poczucie podziwu, jaki wzbudza, syci ją pogarda dla przeciętności i ponosi nieokreślona tęsknota wielkości, estetyzm wielkości. Nie stać ją na odwagę, na szczerość, na konsekwencję — urzeczywistnienia upragnionej wielkości życia. Nie stać też na rezygnację z zasadniczej potrzeby duszy. Tak dokonywa się w niej odwrócenie wartości, przesunięcie sensu życia z pozytywnej strony na negatywną, z treści na pozór, z moralnego sprawdzianu na — estetyczny. Degeneracja i degradacja człowieka pod wpływem środowiska i kultury czasu.

Wbrew uczuciu do Löwborga, niepospolitego myśliciela, zwiąże się Hedda z Tesmanem, przeciętnym, uczciwym, prostym człowiekiem nauki. Gdy Löwborg wróci na jej drogę, rozbija jego związek z dobrą, cichą Teą, której miłość go odrodziła, pchnęła na drogę twórczego życia i nie mogąc go posiadać „—” chce żeby się zabił: dla niej, przez nią i by to „było piękne”. A gdy ten moment estetyczny, stanowiący cały sens jej niszczycielstwa, zawiedzie, gdy Löwborg umrze, ale umrze — niepięknie, gdy dołączy się do tego proza szantażu, Hedda sama, drugim ojcowskim pistoletem odbiera sobie życie: tragicznie bezcelowe, satanicznie destrukcyjne, daremnie wytęsknione do piękna i wielkości.

To wszystko budziło kiedyś dreszcz zgrozy, może podziwu, może współczucia, dziś działa tylko dokumentarnie. Kobieta dzisiejszego czasu ma odwagę walki o prawa swej płci i indywidualności. Te prawa zdobyła i zdobywa, dzięki temu przedewszystkiem, że układ obyczajowy, który ich odmawiał, coraz wyraźniejsze, na tle rozległych przemian, przechodzi bankructwo.

Inscenizacja lwowska, nosiła znamiona świetnego poczucia stylu, subtelnej cyzelatury reżyserskiej, niezwykłego pietyzmu dla Ibsenowskiego słowa — oszczędnego, wewnętrznie wibrującego, niedomówieniami otwierającego dalekie perspektywy wzruszenia. To co stanowi (obok konstrukcji, tutaj nie bez wad) mistrzostwo Ibsena, technikę dialogu przemyślanego, celowego, ostrego, dynamicznego dobyto w całej olśniewającej wyrazistości i sile. Zarzut zasadniczy: przesunięcie akcentu z konfliktu społeczno-obyczajowego na psychologiczny.

Heddę odtwarzała *Ewa Kuncewicz* silnie akcentując, negatywne ustawienie tej psychiki, jego egotyczny chłód, demonizm. Świetna gra oczu i palców. Kreacja wysokiej klasy. Partnerem jej był *Damięcki* (Löwborg) — pełen szczerości tam, gdzie dzisiejszy widz i dzisiejszy odtwórca tę szczerość może uchwycić. Miękką, pasywną bierność Tei oddała dobrze *Marja Malanowicz*. Poprawni byli *Dobrzańska, Chodecki* i *Machalski*. Tło dekoracyjne Daszewskiego i kolorystycznie i kompozycyjnie świetne. Wypośrodkowanie między wymaganiami sztuki dawnej, a wyznawanym modernizmem malarskim.

Ostatnia premjera: „Hallo! Hallo! Radjo Chicago!” — jest ciekawa przez nowość terenu ekspansji artystycznej. Od Ibsena, z *fin de siecle* i jego chorobliwości przenosi w świat dzisiejszy, w ostatni jego cud: radjofonję. Stosunek sztuki do nowych dziedzin życia jest zdecydowanie oporny. Wydają się one w swej świeżości, przez brak związków uczuciowych — niepoetyczne, niezdolne do wywoływania stanu emocji lirycznej. Tak jest dopóki się nie zjawi jakiś talent głęboki, który pozyskuje te światy dziewicze dla poetyckiego wyrazu i włącza je w sferę ludzkiego wzruszenia. Tak poezję wynalazków nowoczesnych próbował stworzyć Sully Prudhomme, tak jedną z zasług futuryzmu pozostanie objawienie poezji maszyny, tak na naszym terenie rewalatorem piękna, dziwności i aż symbolicznej, metafizycznej głębi świata kolei jest w „Demonie ruchu” — Stefan Grabiński. Sztuczka wystawiona ostatnio w Rozmaitościach do tego typu nie należy. Nie wynika z poetyckiego spojrzenia, z twórczej eksploatacji tematycznych możliwości, ale jest zupełnie mechanicznem przeniesieniem motywów dawnych, potwornie zbanalizowanych (senzacyjna kryminalistyka) na nowe tło: studja radjostacji. Założenie streszcza się: radjo na usługach bandytów. Efekt przy absolutnym braku jakichkolwiek wartości artystycznych jest całkowicie ujemny. Wyłączna zawartość kryminalistyki czyni tę robótkę — kryminałem, trudnym do zniesienia. — Jest pierwsze obniżenie linji repertuarowej T. Rozmaitości. Za trudy wykonawcze należy się wyróżnienie: *Krasnowieckiemu* (reżyserja, rola dedektywa), *Stępowskiema Borowskiej, Akrzyńskiemu* oraz *Jarockiemu* jako dekoratorowi.

TYM. TERLECKI

JÓZEF CZYŚCIECKI

PARODJE LITERACKIE

BANDYTA I DJABEŁ

PANIOM WYTWORNYM

Parodja wiersza M. Pawlikowskiej (Z „Wachlarza")

W okropnie ciemne rano, o godzinie czwartej
Przyszedł Dudek, bandyta, do Pani z Przegorzał.
Zdarł z niej szaty i prosił o jedno... uparty,
A w oczach pożądania zwierzęcy błysk gorzał.

Pani bała się strasznie, bo któżby się nie bał
Była jednak ciekawa, jak kocha bandyta.
Wciąż zwalczał rozkosz piekła lęk przed karą nieba,
Więc się trochę wahała. Lecz Dudek nie pytał.

Wicher chęci i strachu trząsł Panią jak listkiem.
Poprosiła o zwłokę. Odmówił i basta.
Djabeł usłyszał. Skoczył po męża do miasta.
Znalazł, wraca z tryumfem. A tu już po wszystkiem...

NIECO O DOMOWIKU

Parodja wiersza M. Pawlikowskiej (Z „Niebieskich migdałów")

Teściowa, po japońsku Cholerapokoju,
Bardzo niebezpieczna, — nawet w zgodzie z człowiekiem.
Lubi mieć codzień o córkę powód niepokoju
I falować piersią miodem płynącą i mlekiem.

Nigdy cicho nie siedzi i z każdym się czubi,
Kaftan sobie ceruje i wciąż myśli o tem,
Że gdyby zięć chciał uciec, jak to łajdak lubi,
To go zaraz do domu przyprowadzi zpowrotem.

PAUL NIKOLAUS

JEJ NAJLEPSZA PRZYJACIÓŁKA

Osoby: On i Ona. Rzecz dzieje się w kawiarni przy stoliku, na którym stoją dwa cocktail'e. Na lewem krześle Ona, na prawem krześle On

Ona: A więc pan się z Daisy na serjo zaręczył?

On: Tak jest! I miałem ten świetny pomysł, tu się z panią w wielkiej tajemnicy spotkać, aby mi pani, jako najlepsza przyjaciółka Daisy, opowiedziała jeszcze wiele dobrego o niej, o jej zaletach i dodatnich stronach, których jeszcze nie miałem sposobności poznać.

Ona: Ależ z największą przyjemnością! Niema tu wiele do mówienia: Daisy jest najsłodszem, najrozkoszniejszem i najbardziej uroczem stworzeniem, jakie znam. Myśli pan, że w przeciwnym wypadku byłabym z nią od pięciu lat w tak zażyłej przyjaźni? Bo między nami mówiąc, to nie tak łatwo być zaprzyjaźnionym z kimś tak fałszywym, jak Daisy!

On (drgnął przestraszony).

Ona: Być może, że użyłam zbyt ostrego określenia. Daisy tylko wtedy mija się z prawdą, gdy uważa to za konieczne. Ona jest o wiele za mądra — — —

On: O tak, nad wyraz mądra! Daisy jest prawdziwie intelektualnym człowiekiem! Ona nienawidzi płytkiego dandysostwa.

Ona: Właśnie też dlatego ta rzecz z Bobbym tak się prędko skończyła!

On: Z kim?

Ona: Z Bobbym, tym małym gigolo z Royal'u! Ona panu pewno nic o nim nie opowiadała, bo to rzeczywiście była tylko przelotna miłostka! Wszystkiego dwa tygodnie. Ja jej to wtedy zaraz przepowiedziałam. Daisy, mówiłam, to przecież głupi zarozumiały chłopak, ale gdy go koniecznie chcesz mieć — proszę! Stawiam ci moje mieszkanie do dyspozycji — — —

On: Pani mieszkanie??

Ona: No tak, prawdziwa przyjaźń wymaga ofiar... Nigdybym nie zepsuła Daisy przyjemności...

On: Ależ przecie jako jej przyjaciółka — —

Ona: Jako jej n a j l e p s z a przyjaciółka! Chętnie się dla niej poświęcam, pomagam jej gdzie tylko mogę i zawsze dobrze o niej mówię. Dawniej bywało mi czasami doprawdy trudno z nią wytrzymać, przy jej skandalicznym trybie życia...

On (drgnął przestraszony).

Ona: Wyrażam się może znowu zbyt ostro, ale wiedział pan chyba o tem, że Daisy nie jest niewinną dziewicą. Mój Boże, dziewczyna 29-cioletnia!

On: Myślałem, że ma dopiero 25 lat??

Ona: Powiedziała panu, że ma 25? No dobrze! Powiedzmy 25! Dziewczyna z takiemi wymaganiami, jak Daisy!

On: Ależ ona jest podobno taka oszczędna i bardzo skromnie wychowana? Jej rodzice przecież — — —

Ona: No, tego nie należy brać zbytnio tragicznie. Ojca wcale nie znała, bo nie chciał jej uznać za swoje dziecko, a że jej matka była zawikłana w ten przykry proces, temu Daisy nie jest ostatecznie winną!

On: Mnie ona tę sprawę zupełnie inaczej przedstawiła — — —

Ona: Tem dowiodła najlepiej, że posiada dużo wrodzonego taktu. Nie chciała pana niepotrzebnie niepokoić. Ile musiała dziewczyna, pochodząca z takiego środowiska, przecierpieć! (Podnosi chusteczkę do oczu.) No, ale później poznała mężczyznę, który się w niej zakochał, poznała dzięki niemu wielki świat, przyzwyczaiła się do luksusowego życia i zaczęła stawiać wymagania. Ale mogła sobie przecież na to pozwolić, jej przyjaciel był bogatym człowiekiem, następny był jeszcze bogatszy, podarował jej auto — — —

On (zaniepokojony): Myślałem, że to auto jest od wujaszka??

Ona: No tak, tak. Mój Boże, ona mówiła do niego zawsze „wujciu". Była też do niego bardzo przywiązana. Daisy wogóle umie się świetnie obchodzić z mężczyznami, wszyscy są tego zdania!

On (z westchnieniem): W s z y s c y??

Ona: W jaki sposób pan ją właściwie poznał?

On: Szedłem przez jezdnię pogrążony w myślach, nagle nadjeżdża auto i byłoby mnie niechybnie przejechało, gdyby się w ostatniej chwili tuż przede mną nie zatrzymało. Autem kierowała Daisy. Ona to uratowała mi życie!!

Ona: Tak, tak, w swoim czasie poznała Władka też w ten sposób.

On (bębni nerwowo palcami w stół).

Ona: Pan jest zdenerwowany? Umówił się pan z Daisy??

On: Tak, o siódmej. O, już za kwadrans siódma! Idziemy do opery. Umówiłem się z nią na rogu Marszałkowskiej i Siennej, tam mieszka jej krawcowa.

Ona: Róg Siennej? (Namyśla się.) Czyżby E r w i n tam jeszcze mieszkał? Daisy sprawia sobie ładną sukienkę??

On (uśmiecha się kurczowo): Nie mam pojęcia! Ale pani mi wybaczy, że się teraz pożegnam. (Wkłada palto.) Dziękuję pani serdecznie za wszystkie szczegóły.

Ona: Ależ proszę bardzo, niema za co dziękować! Jestem jedyną istotą, która zna Daisy nawylot, ona ze wszystkiego mi się zwierza, jestem wszak jej najlepszą przyjaciółką!!

On: A więc raz jeszcze stokrotne dzięki! (Całuje ją w rękę, mocno zdeprymowany, zamyśla się na chwilę, później pyta:) Miałaby pani chęć iść dziś ze mną do opery?

Ona: Z największą przyjemnością!

On (siadając): Kelner, dwa cocktail'e!

Autoryzowany przekład
MARCELI HALICZ

Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA

O czem zapominamy najczęściej przy codziennej toalecie w normalnych warunkach, to znaczy, gdy cera jest prawidłowa, a zatem gdy idzie wyłącznie o postępowanie w duchu higjeniczno-zapobiegawczym?

Takie pytanie zadała mi jedna z naszych Czytelniczek — jej więc ten artykulik poświęcam, jakkolwiek nie łudzę się wcale, że zdołam wyliczyć wszystkie przeoczenia popełniane nieświadomie, albo też świadomie, ale za to na tle lenistwa.

Ponieważ racjonalne codzienne zabiegi toaletowe, dokonywane w prawidłowych warunkach, były już przedmiotem rozważań w naszych stałych pogawędkach, więc się dziś niemi nie zajmuję w przekonaniu, że moje Czytelniczki dokładnie je znają. Przejdę zatem odrazu do przeoczeń.

Najczęściej obserwowanym błędem jest pielęgnowanie samej twarzy bez brania w rachubę szyi. Jest to już tak przyjęte, że do rzadkich wyjątków należą równomierne starania o twarz i szyję. Zwykle poświęca się całą uwagę twarzy, a szyję myje się poprostu i na tem koniec. Dzieje się to nietylko w prywatnej praktyce codziennej, ale i w instytutach piękności — rzekomo przez fachowe siły obsługiwanych — gdzie na usługi twarzy są wyborowe środki kosmetyczne, masaż, parówka, przyrządy elektryczne i t. d., ale szyja pozostawiana bywa odłogiem. Tymczasem szyja wymaga co najmniej takich samych starań, gdyż twarz wypielęgnowana traci wiele z uroku i młodości przy zaniedbanej, pożółkłej, pofałdowanej szyi. Trzeba ją narówni z twarzą otaczać staraniami, pobudzać obieg krwi gimnastyką mięśni szyi, a jeśli zachodzi potrzeba, odżywiać skórę kremem i środkami tonizującemi. Szyja odgrywa zbyt wielką rolę w ogólnych warunkach piękności, by ją bezkarnie można tak traktować, jak to bywa w przeważnej ilości przypadków. Poza tem, pielęgnowanie szyi jest zarazem wielką pomocą w staraniach o dobrą karnację twarzy.

Następnie uszy. Im także za mało uwagi poświęcamy. Niedbałe opłókanie wodą przy sposobności mycia twarzy, tak jakby na odczepne, nie może wystarczyć. Trzeba je porządnie wymyć mydłem, oczyścić z gromadzącej się stale woskowiny, nie pominąć żadnego wgłębienia a wkońcu energicznie wytrzeć, tak by poróżowiały i żeby wystąpiło w nich uczucie ciepła, udzielające się całej twarzy.

Zkolei piersi. Po zwykłem, dokładnem umyciu mydłem i wodą, należy zastosować krótki masaż i gimnastykę mięśni. Naostatek zaś spryskać zimną wodą i wetrzeć nieznaczną ilość tłustego kremu lub wonnego olejku, który jest ekwiwalentem za wysuszające naskórek działanie mydła. Obawy przed zatłuszczeniem bielizny są niesłuszne. Skóra chłonie tłuszcz idealnie, wytarcie zaś miękkim ręcznikiem usuwa najmniejszy jego ślad. A za to co za różnica w gładkości i jędrności skóry w ten sposób pielęgnowanej.

Pachy bywają też niestosunkowo często zaniedbywane, o czem przy najlżejszym ruchu, nie mówiąc już o jakimś wysiłku fizycznym, przykro informują otoczenie. Obfite mycie mydłem rano i wieczór jest niezbędne, zwłaszcza o ile włosy nie są usuwane, na nich bowiem gromadzą się i rozkładają wydzieliny skórne. Po umyciu należy zatem rozpylić odrobinę wody kwiatowej, albo wetrzeć nieco suchego, wonnego kremu lub olejku. Wkońcu zapudrować, zwłaszcza przy skłonności do nadmiernego potu. Uwag o myciu pach nie trzeba lekceważyć. Właścicielki zaniedbanych pach nie zdają sobie sprawy z tego, ile przykrości sprawia zetknięcie się z niemi chociażby — w tramwaju. Same nie czują woni, którą rozsiewają dokoła lub są już do niej przyzwyczajone, ale muszą przecież liczyć się z otoczeniem. W rozmowie na ten temat oświadczyła mi pewna pani, że jazda tramwajami w lecie była dla niej męczarnią, która ją skłoniła do zrezygnowania z tego środka komunikacji. Zdaniem jej, jedno uniesione wgórę ramię kobiece, trzymające się rzemienia, zdoła sąsiadom zatruć powietrze. Oczywiście, ramię zaniedbane pod względem higjeny.

A nogi, czyli ściśle określając: stopy, czyż zawsze są należycie traktowane? Oprócz rannej kąpieli wymagają wieczorem bezwzględnie usunięcia potu i brudu nagromadzonego w ciągu dnia. Stopy, zamknięte cały dzień w nieprzewiewnem, przylegającem obuwiu, zasługują może więcej aniżeli inne części ciała na zajęcie się niemi. Trzeba im dostarczyć powietrza, odpoczynku, odprężenia mięśni; skóra stopy pragnie tak samo zaczerpnąć oddechu, jak ta jej część, do której powietrze ma swobodny dostęp w każdej chwili. Do mycia stóp używać, oprócz mydła, pumeksu w proszku, który usuwa zgrubienia i szorstkości naskórka. Szczoteczkę namydlić, posypać gęsto pumeksem i dobrze wyszczotkować całą podeszew wraz z piętą, a specjalnie energiczniej miejsca zgrubiałe. Następnie krótki masaż z dodatkiem kilku kropel olejku, wytarcie szorstkim ręcznikiem całej stopy i każdego palca osobno, a wkońcu zapudrowanie łojkiem lub zwykłym ryżowym pudrem. Utrzymanie nóg w czystości jest — oprócz znanych higjenicznych wskazań — dlatego tak ważne, że brudne, wilgotne stopy wpływają ujemnie na ogólną ciepłotę ciała. Nogi nieumyte, strudzone całodziennym ruchem, zawsze są trochę wilgotne, zwłaszcza między palcami i na podeszwie, t. j. tam, gdzie się pot przeważnie gromadzi. A wtedy, choćby całe ciało było czyste i posiadało normalną ciepłotę, wilgotne nogi będą zimne i spowodują powoli niemiłe uczucie chłodu. Spróbujmy kiedyś gdy nam zimno będzie, dla przekonania się, umyć nogi w gorącej wodzie, wymasować i zapudrować, a przekonamy się, jak prędko rozejdzie się po całem ciele rozkoszne uczucie ciepła, odpoczynku a nawet ukojenia nerwów. Pamiętajmy również, że zimne nogi są często powodem zaziębień.

O kolanach i łokciach również zapominamy. Skóra na nich podlega ciągłemu napięciu, gdyż tak nogi, jak ręce rzadko trzymamy wyprostowane. Stąd wypływa skłonność do wysychania naskórka, do pewnych szorstkości i nierówności. Nieraz nawet tworzy się z biegiem czasu brzydka gęsia skórka. Unikniemy tych przypadłości, jeśli po codziennem umyciu wetrzemy w wilgotny naskórek odrobinę olejku, który go odżywi i zapewni pożądaną elastyczność, gładkość, dobrą karnację, oraz zapobiegnie marszczeniu się i fałdowaniu skóry.

Brwi i rzęsy cierpią często pod niehigjenicznym i niechlujnym zwyczajem ślinienia ich po przepudrowaniu twarzy. Idzie tu, oczywiście, o usunięcie białego pyłku, wyrównanie łuku brwi, podwinięcie rzęs wgórę. Czyż jednak ślinienie jest odpowiednim zabiegiem? Chyba wstrętnym. Do tego celu trzeba mieć wąską, miękką szczoteczkę, zwilżyć ją lekko w wodzie przegotowanej i wyszczotkować brwi, a rzęsy podwinąć. Można też przyrządzić następujący płyn: wodę różaną z kilku kroplami oleju rycynowego mieć we flakoniku zawsze pod ręką przy myciu. Brwi i rzęsy wątłe, źle się układające, można wzmocnić i pobudzić do porostu, jeśli po umyciu na noc natłuścimy je nieznacznie olejem rycynowym. Wykonać to należy nie palcami, lecz szczoteczką lekko natartą olejem. Wyszczotkowane delikatnie brwi układamy w pożądaną formę łuku, a rzęsy podwijamy nieco wgórę. Również masaż wzmacnia brwi i rzęsy; polega on na lekkiem szarpaniu włosków, ujmowanych w dwa palce, t. j. w duży i wskazujący.

EFEB

PLOTECZKI O MODZIE

W OKRESIE PODRÓŻY I WYWCZASÓW LETNICH

Praktyczne zestawienie niezbędnej garderoby w okresie krótkich podróży, pobytów na letniskach i coraz bardziej popularnych week-end'ów jest rzeczą bardzo ważną. Wziąć ze sobą za dużo, to znaczy narazić się na kłopoty z bagażem kolejowym i rozmieszczeniem rzeczy na miejscu — zabrać zaś za mało grozi rozmaitemi niewygodami z powodu zmian atmosferycznych i komplikacjami towarzysko-rozrywkowemi. Wyborem poszczególnych rzeczy musi kierować celowość, a nie myśl: to takie ładne, że muszę bezwarunkowo zabrać, albo: w tem mi wyjątkowo dobrze, więc zapakuję. To nie są istotne powody do zabierania rzeczy, gdyż każdy przedmiot, który przeznaczamy do zapakowania, musi służyć jasno oznaczonemu celowi.

Rozważyć należy przedewszystkiem samą podróż: koleją, autem, czy samolotem? Każdy z tych środków komunikacyjnych wymaga innego kostjumu, innych szczegółów.

Następnie długość pobytu, miejscowość i środowisko, w którem obracać się będziemy. Są to najważniejsze wytyczne w zestawianiu garderoby.

Na suknie i okrycia podróżne nadają się tylko wełny i to nie mnące się w dobrym gatunku materjały. Wyroby wełniane mają w ostatnich czasach tak bogatą skalę odmian i gatunków, tak urozmaicone techniki tkania, że wybierać można od najgrubszych do najcieńszych, najzwiewniejszych na upalne dni letnie. Tą możnością wielostronnego zastosowania wełny tłumaczyć można rozmiłowanie się w niej twórców mody i ich klientek. Obawa, że wełna zbytnio grzeje podczas upałów w podróży, odpada wobec jej subtelnie tkanych i doskonale porowatych odmian. Garderoba przeznaczona na podróż musi być przygotowana na różne nieoczekiwane szkodliwości i wytrzymalsza od miejskiej.

Suknie z materjałów szkockich lub w drobniutką kratkę „pepita" są bardzo praktyczne i szykowne. Obecnie przyjął się komplet podróżny, zestawiony z sukni z żakiecikiem, na co przychodzi płaszcz. Jeśli suknia jest z materjału szkockiego, albo pepita — żakiecik będzie z gładkiego. Również spódniczka, bluzka, kamizelka i płaszcz składają się na miły komplet podróżny.

Na płaszcze podróżno-sportowe wybieramy materjały miękkie, na których trudów podróży nie znać. Można je miąć, składać, ugniatać, leżeć w nich — a wszystkie te czynności nie pozostawiają na nich śladów. Pozatem układają się doskonale i można z nich wykonywać duże, fałdowane kołnierze, miękko obwijające szyję szale i krawaty. Sportowy typ płaszcza, prosty, do noszenia z paskiem i bez — jest najodpowiedniejszy. Wszelkie pomysły z pelerynami trzy czwarte długości, albo z płaszczami przybranemi pelerynką okazały się w praktyce niewygodne i krępujące swobodę ruchów tak niezbędną w podróży.

Przyjęty oddawna za granicą „week-end", zwyczaj spędzania końca tygodnia, t. j. połowy soboty i niedzieli, na świeżem powietrzu jest ze względów zdrowotnych polecenia godny. U nas za mało jest jeszcze w użyciu nietylko z braku środków finansowych, ale również i z braku zrozumienia jego wartości.

Miłe i niefrasobliwe spędzenie czasu zależy w niemałej mierze od wygodnego ubrania, którem się nie krępujemy i zniszczyć nie obawiamy. Moda w bieżącym sezonie proponuje taką tanią kombinację: z każdego kostjumu miejskiego można mieć klasyczny kostjum na week-end przez zamianę spódniczki na spodnie. To znaczy, góra pozostaje niezmieniona: bluzka lub kamizelka i żakiecik, a zamiast spódniczki wkładamy szerokie, kloszowe dołem spodnie, robiące wrażenie spódniczki i tak jak ona na biodrach ładnie wykończone, zaopatrzone zacinanemi kieszeniami. Spodnie z shantungu są bardzo praktyczne, ale można je szyć również z wełny i z dowolnego materjału. Przeważnie jasne spodnie do ciemnej góry, a ciemne do jasnej.

O tem, że obuwie musi być mocne i praktyczne, pończoszki nie mogą być pajęczej cienkości, a kapelusz od słońca powinien być duży — wiedzą panie chyba dobrze.

Wybierając się na wypoczynek letni, trzeba się przezornie zaopatrzyć w wiele rzeczy, któreby nam ewentualnie mogły być potrzebne. To prawda, że trudno jest pamiętać o wszystkiem i wszystko przewidzieć, ale dużo sobie pomóc możemy zapisując na karteczce, na tydzień lub dwa wprzód, wszystko coby się nam zdać mogło. Taka próba z karteczką przekona panie, ile ułatwienia będą miały przy pakowaniu. Jako dwie pierwsze pozycje radzę wpisać książki i — żelazeczko do odprasowywania. Przybory toaletowe w należytej ilości, zapasowe obuwie, leżak, papier listowy i znaczki, flakonik na kwiaty, serwetki haftowane i inne drobiazgi mało miejsca zajmujące, które nadają indywidualne piętno szablonowym, zimnym, wynajmowanym pokojom. Jesteśmy bowiem zależni od wielu, wielu rzeczy, jeśli mamy się dobrze czuć gdziekolwiek — a to przecież tak ważny moment, gdy idzie o wypoczynek po całorocznej pracy.

Matki, jadące na wywczasy z dziećmi, powinny pamiętać o rozrywkach dla nich specjalnie w okresach niepogody. W dnie słoneczne dzieci same wynajdują sobie sposobności do zabaw i w ten sposób odciążają niejako pamięć starszych. Ale cóż począć podczas deszczu i chłodów z dziećmi nudzącemi się, w jednym lub co najwyżej dwóch pokoikach? O odpoczynku dla rodziców mowy wówczas być nie może, o ile nie dostarczą dzieciom zajęcia, któreby je interesowało i zupełnie ich uwagę pochłonęło. W tym celu trzeba się zaopatrzyć w różne gry, zabawy i w książeczki odpowiednie do wieku, a z uwzględnieniem indywidualnych upodobań dzieci. Tylko w takich bowiem warunkach, gdy towarzyszące starszym dzieci mają czas mile zajęty, może ich otoczenie korzystać z odpoczynku. Zdarza się tak jednak nieraz, że rodzice ślepo rozmiłowani w swoich pociechach, a nie umiejący ich rozsądnie poprowadzić ani zająć, potulnie znoszą wszelkie grymasy i niesforności w zachowaniu. Jest to zresztą ich prywatną sprawą, o ile sami znoszą miłe konsekwencje w ścianach prywatnego mieszkania. Powinni jednak zastanowić się nad tem, skąd przychodzą do tego obcy ludzie, spragnieni spokoju na wywczasach, by im spokój zakłócały cudze dzieci. Przypadki, w których jedno lub dwoje niesfornych dzieci teroryzuje cały pensjonat, nie są znowuż tak bardzo odosobnione. A matki, zamiast poskromić swawolę i wybryki swoich dzieci, uważają za stosowne obrażać się o każdą słuszną uwagę.

Umiejmy podróżować i mądrze wyzyskiwać krótki okres wywczasów, który ma wzmocnić zdrowie i nerwy.

Umiejmy myśleć nietylko o sobie i swojej rodzinie, lecz miejmy wzgląd i na tych, których los zesłał nam na sąsiadów i współlokatorów na letnisku. Wzgląd wobec drugich, liczenie się z ich spokojem, to dowód głębszej kultury ducha, która jest wprawdzie niezmiernie rzadkiem zjawiskiem, lecz jakże cennem i błogosławionem w skutki.

CAILLER-SOBAŃSKA



Podróżny kostjum



Transformacyjny kostjum na week-end



Płaszczyki podróżne



75 76 77 78

SUKNIE Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH



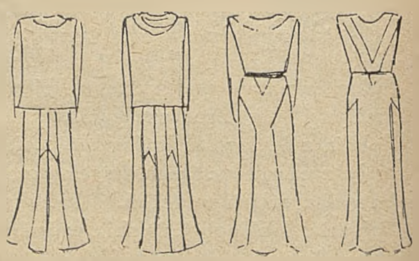
75 Suknia z woalu wzorzystego beige z czarnym. Pasek, guziki, kapelusz i rękawiczki w kolorze czarnym.

76 Suknia z lekkiej krepy wzorzystej, przybrana białym kołnierzem. Kapelusz biały z czarną wstążką, pasek czarny.

77 Suknia z fularu w deseń. Żakiecik z białym kołnierzem; kapelusz biały.

78 Suknia z lekkiego jedwabiu w drobniejsze i większe centki, przybrana ciemnemi plisa mi.





79 Komplecik w kolorze pomarańczowym w brunatny deseń. Żakiecik z gładkiego ciemno-brunatnego jedwabiu, przybrany materjałem sukni.

80 Komplecik biały z czarnym. Suknia: na białem tle czarne centki — żakiecik: na czarnem tle białe centki.

81 Suknia zielona w bronzową kratkę; żakiecik w kolorze kratek, przybrany materjałem sukni. Kołnierz biały.

82 Komplecik z „sahary" lawendowej w sarnie, nikłe prążki.



SUKNIE Z POWIEWNYCH MATERJAŁÓW KRAJOWYCH

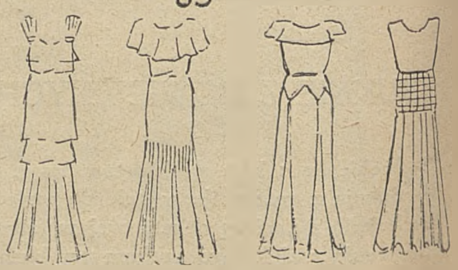


83 Niebieska suknia markizetowa w granatowy deseń.
84 Suknia z gaze-voile w kolorze perłowym; deseń blado-różowy.
84a Suknia z żorżety deseniowej w kolorze białym w pomarańczowy deseń.
85 Suknia z zielonego szyfonu przybrana białemi koroneczkami i przodzikiem z żorżety.

SUKNIE NA ZIELONY KARNAWAŁ Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH



86 87 88 89



86 Suknia z czarnego szyfonu w jasne kwiaty.
87 Suknia z różowej koronki; ciemno-szkarłatna róża w pasie.
88 Suknia z białej żorżety w deseń kwiatowy.
89 Suknia z niebieskiej markizety jedwabnej w deseń. Osobna pelerynka z tego samego materjału z gładkim brzegiem.

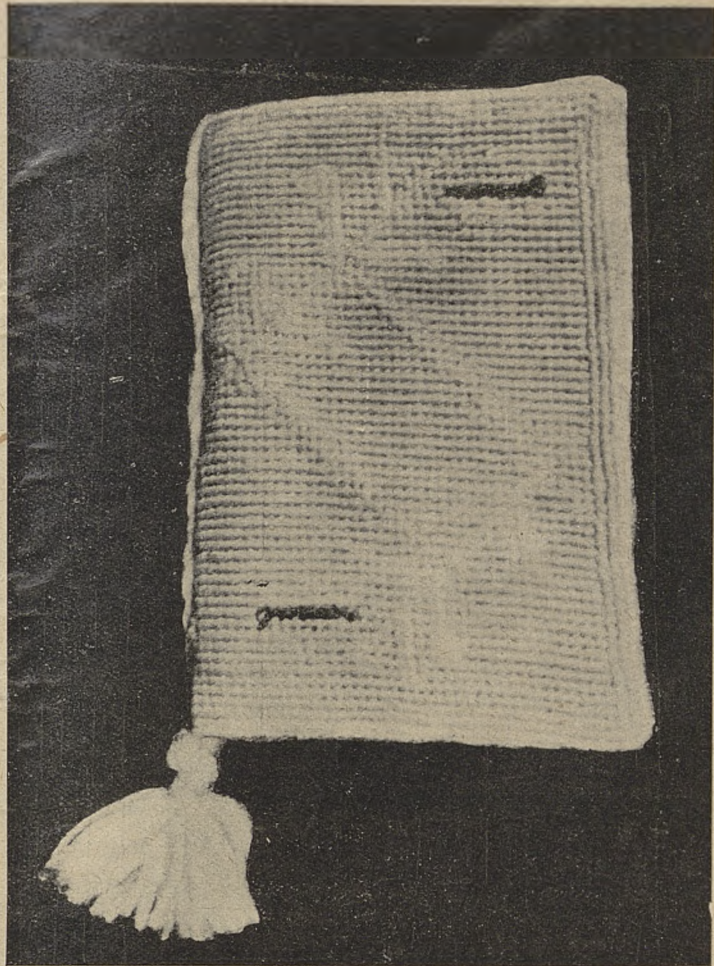
Ryc. 28. — KSIĄŻECZKA NA IGŁY, sporządzona z kanwy, zahaftowanej wełną pół-krzyżykami.

Ryc. 29. — Do strojniejszej sukni niezbędna jest WYTWORNA TOREBKA RĘCZNA, nadająca się do każdej toalety.

Wykonana pół-krzyżykami na cienkiej kanwie, jednakowo po obu stronach, cienką wełną lub jedwabiem. Barwy w odcieniach gobelinowych.

Wzoru dostarczamy bezzwłocznie.

Ryc. 30. — DUŻA KWADRATOWA SERWETA z szarego płótna lub grubej kanwy. Haft wykonany grubą wełną krzyżykami. Kolory: czerwony, czarny, zielony i granatowy. Rozmiary: 1 m × 45 cm.



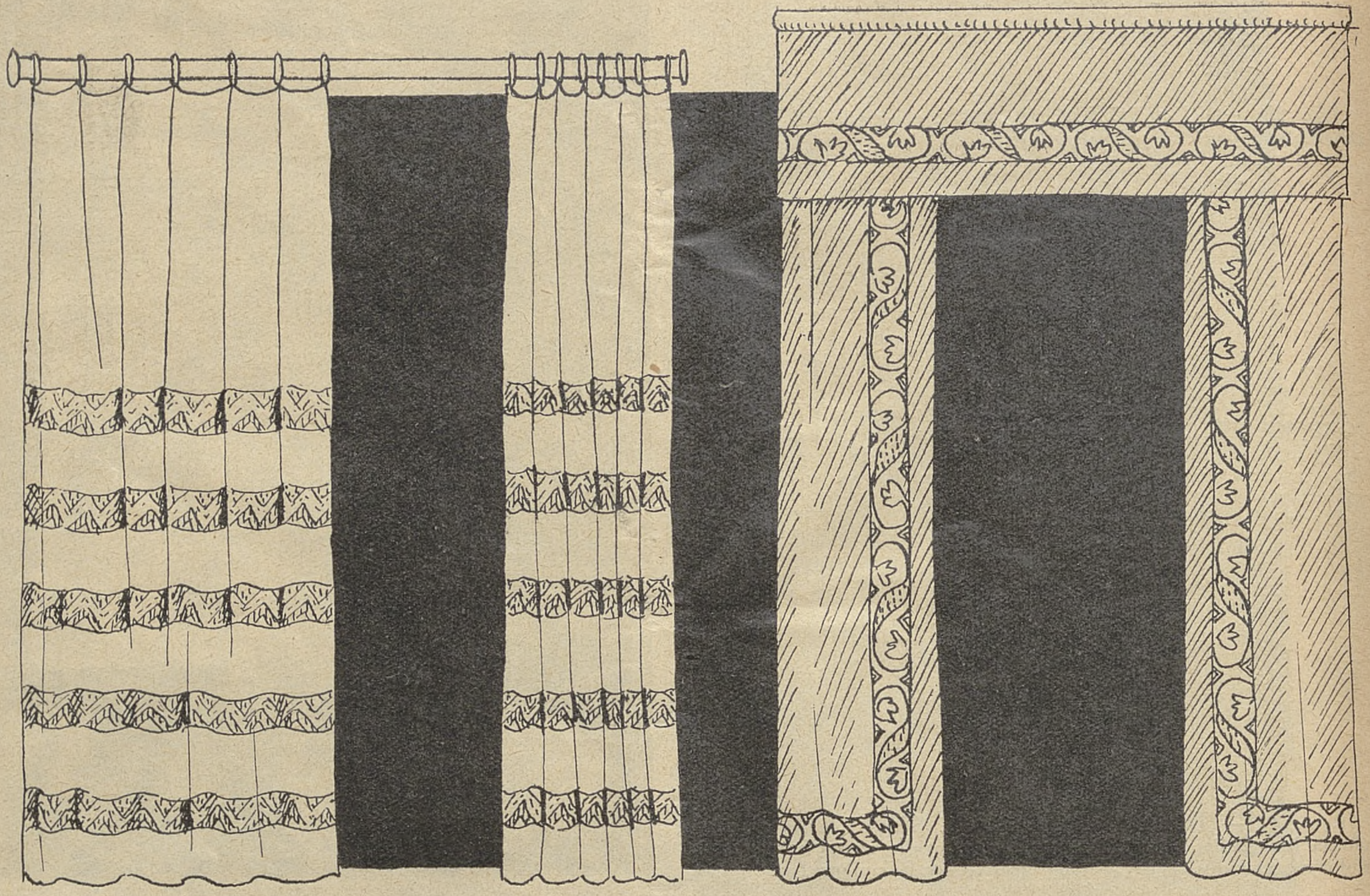
Ryc. 28

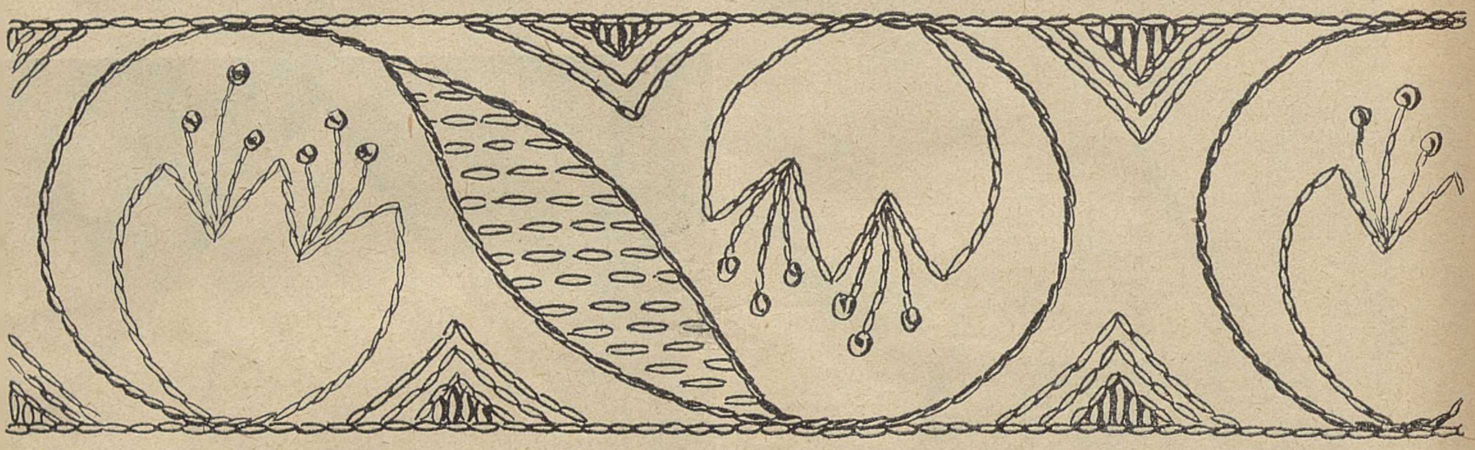


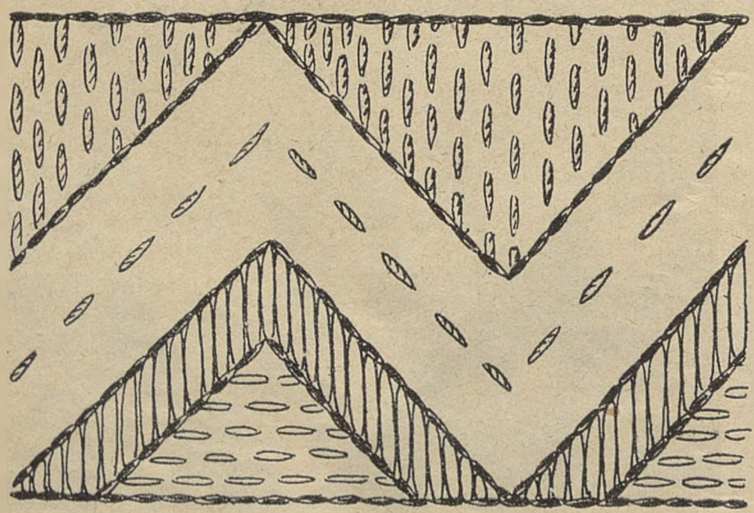
Ryc. 29



Ryc. 30

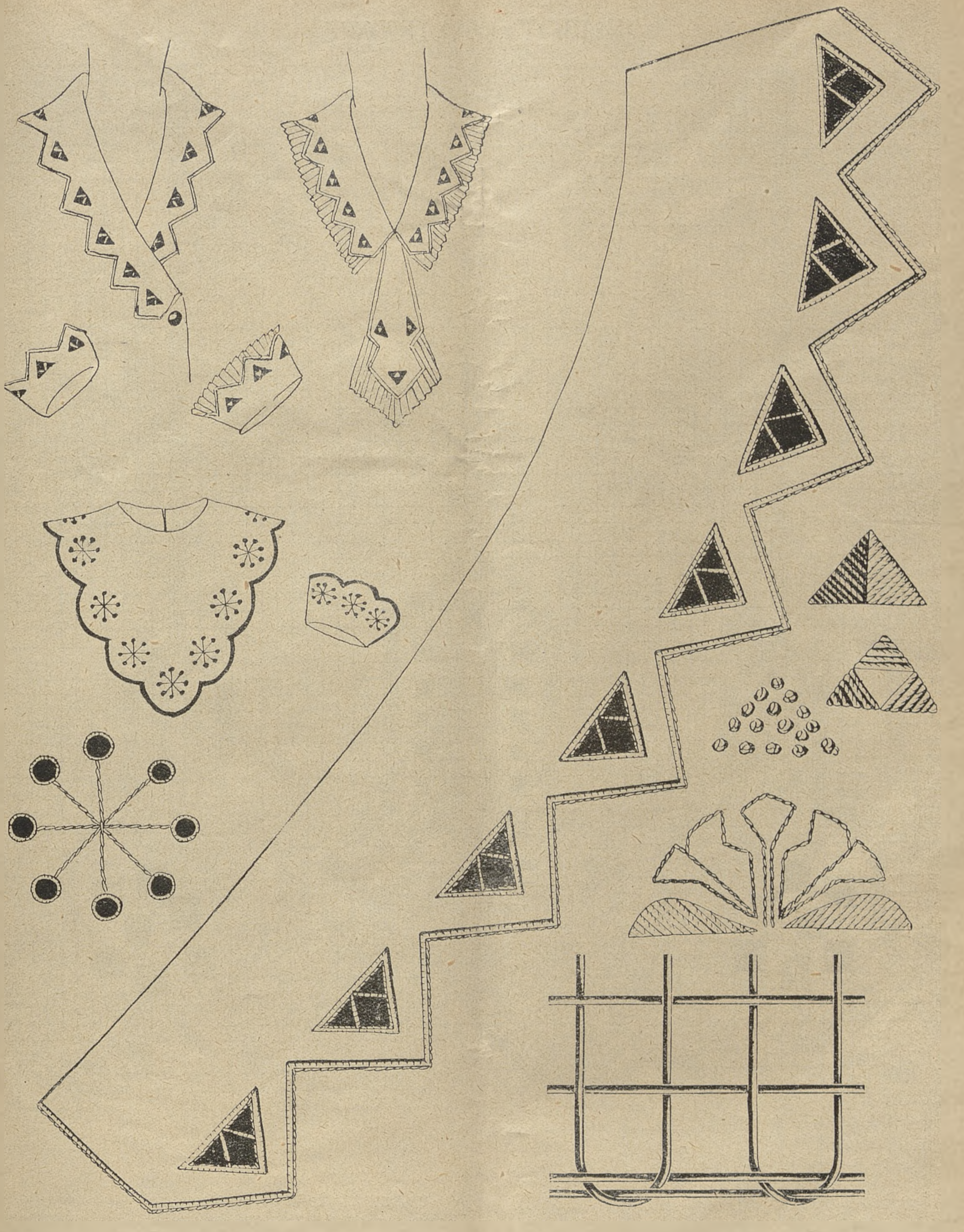






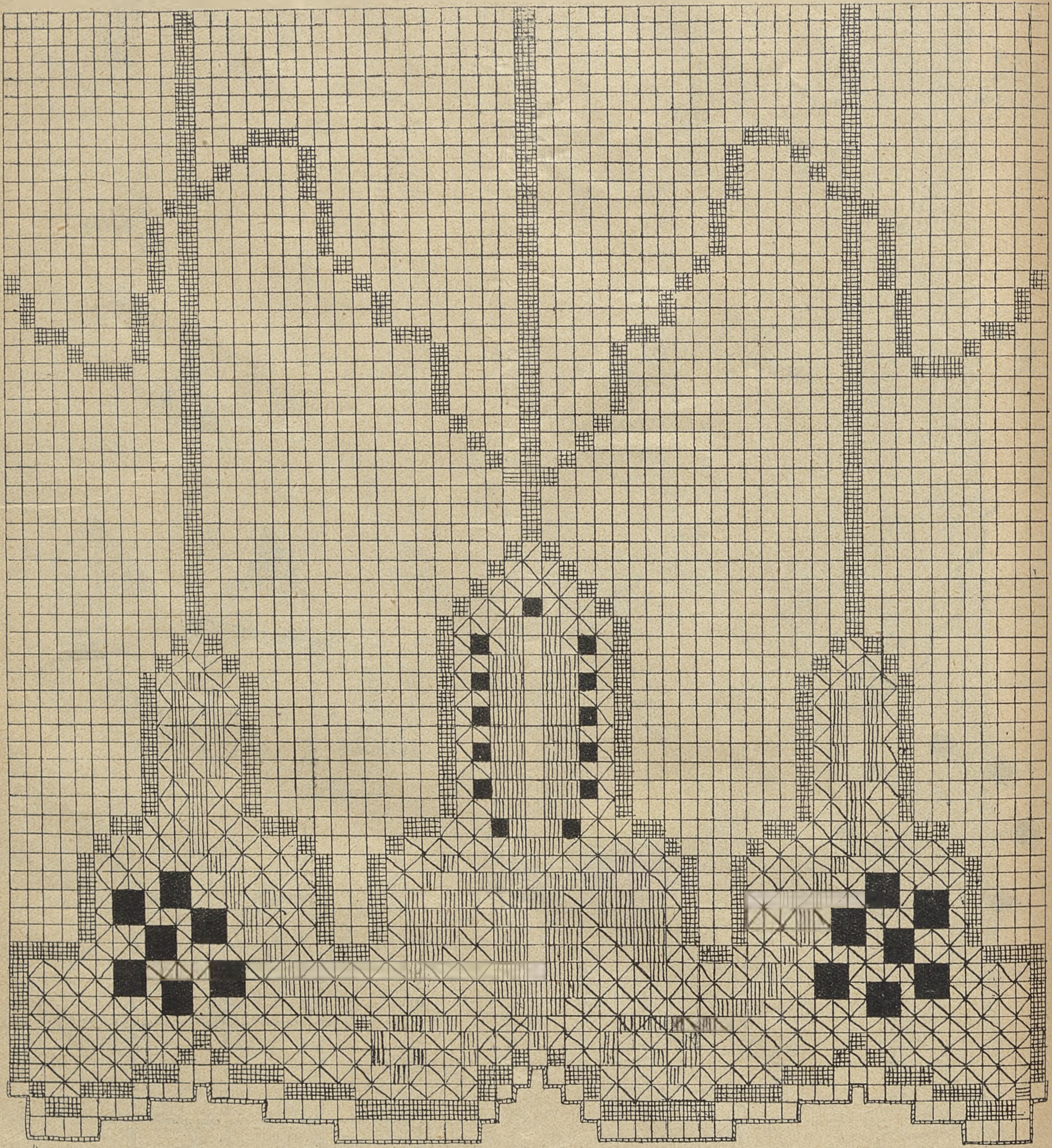
DWA SZLAKI DO OZDOBIENIA PORTJER

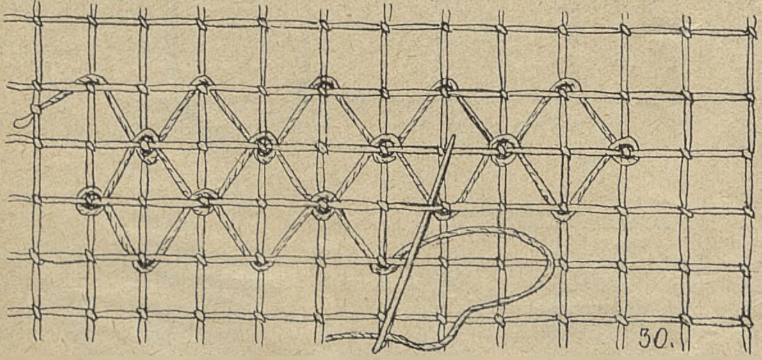
Ryc. 31. — Wzory wykonane łatwym haftem włóczką albo jedwabiem. Umiejętny wybór kolorów stanowi o piękności haftu. Powinny one harmonizować z urządzeniem. Kontury można wystebnować na maszynie, nawijając włóczkę na szpulkę pierścieniową. W takim razie wzór odbijamy na lewej stronie roboty. Motywy wypełnia się następnie ściegiem przed igłę wzgl. płaskim.



ZNOWU ODŻYŁA MODA HAFTOWANYCH SUKIEN!

Ryc. 32. — Haftu tego można użyć bezpośrednio i to w różnych zastosowaniach. Nadaje się znakomicie do ozdabiania tak dziś modnych materjałów do prania. Można go wykonać białą bawełną lub jedwabiem jako haft angielski, albo kolorowemi nitkami jako haft płaski, węzełkowy lub pocztowy. Szczególnie piękny efekt daje haft ten wykonany w dwu lub trzech kolorach odpowiednich do wzoru materjału.





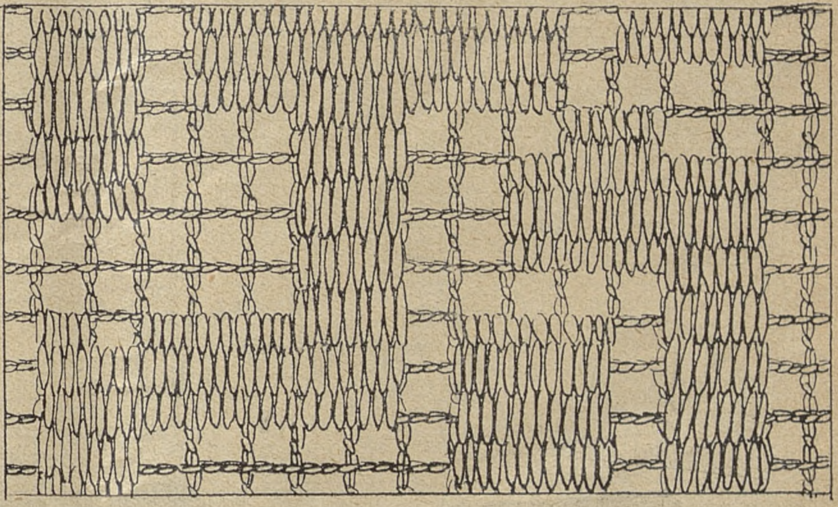
ZAZDROSTKA ze siatki wyszytej ściegiem płóciennym, cerowanym gęstym i rzadkim oraz zygzakowatym. Wykonanie tego ostatniego jest bardzo łatwe. Służy on do wypełniania tła. Sposób wykonania uwidoczniony obok.

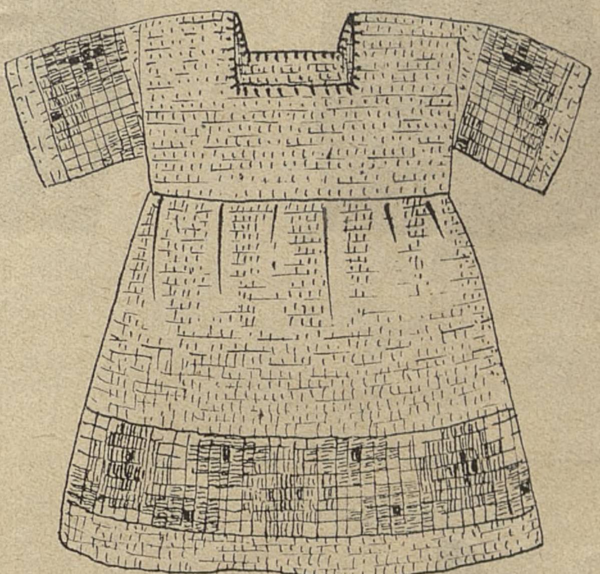
Zazdrostkę można wykonać z grubej siatki, której 6 oczek idzie na 5 cm, ale można wzór również zastosować do drobniejszej siatki, powtarzając go odpowiednio. Należy w takim przypadku zacząć wyszywanie od środka.

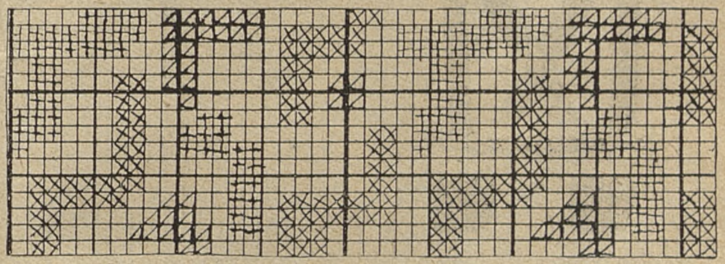
Z. KULCZYCKA

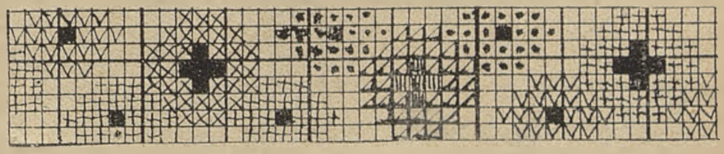
KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO











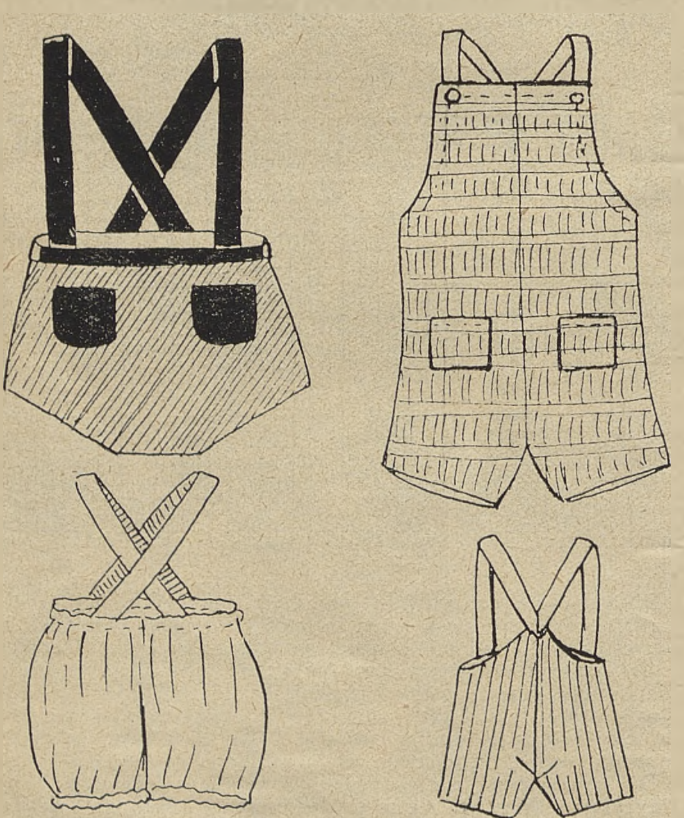
Bardzo sympatyczne są na lato lekkie dżemperki z jedwabiu lub cienkiej włóczki. Można je ozdobić przezroczystym wzorem podobnym do siatki i jak ona wyszyta cerowaniem. Robimy przód i plecy oddzielnie, zaczynając od dołu łańcuszkiem z 133 oczek, w które wrabiamy w drugim rzędzie 130 słupków raz nawijanych. Po 3 do 4 rzędach takich słupków następuje 15 rzędów słupków w każdy trzeci słupek rzędu poprzedniego, przedzielając je 2 oczkami w powietrzu. Następnie robimy dalej rzędy słupków podług kroju, a po skończeniu obu części zszywamy boczne szwy i przystępujemy do wyszywania wzoru cerowaniem, biorąc włóczkę do siatki jedwabnej albo naodwrót: jedwab do włóczki. Brzegi wycięcia szyi i pach wykończamy ścisłemi oczkami.

Sukienka dla dziewczynki podobnie przyozdobiona wygląda bardzo wdzięcznie, jeśli wzór kwiatowy wyszyjemy żywemi barwami. Sukienkę robimy również podług kroju, gdyż nie można podać liczby potrzebnych słupków wobec tego, że robota rozmaicie wypada przy rozmaitych rodzajach włóczki. Prócz tego każda z pań inaczej szydełkuje, jedna ciaśniej, druga wolniej, nie można się tedy dziwić, że według podanej ilości słupków mogą powstać sukienki bardzo różniące się co do wielkości.

Do wyszycia na siatce szydełkowanej nadaje się każdy wzór krzyżykowy. Wyszyta siatka szydełkowana — doskonała do przydłużania za krótkich sukienek włóczkowych.

Z. KULCZYCKA





KĄCIK PRAKTYCZNY

MODNY KOMPLET KĄPIELOWY ORAZ SPODENKI PLAŻOWE DLA DZIECI

Ubrania kąpielowe odsłaniają obecnie jak najwięcej ciała. Widzimy więc ubrania głęboko wycięte na plecach i pod pachami. Ponieważ ramiączka łatwo zesuwają się przy takich ubraniach, przytrzymuje się je w rozmaity sposób. Pokazujemy jeden z prostszych. Można przerobić każde stare ubranie w ten sposób. Na żądanie dostarczamy kroju na cały komplet wraz z płaszczem, który mało różni się od płaszcza na ulicę, tylko tem, że jest wykonany z materjału wzorzystego i oczywiście bawełnianego.

Spodenki plażowe dla dzieci odsłaniają plecy i piersi i są jaknajkrótsze. Dzieciaki mogą w nich wejść do wody, gdyż szyje się je z odpowiedniego materjału. Krój jest jednaki dla dziewczynek i chłopczyków. Szczególnem wzięciem cieszy się model fartuszkowy, który osłania połowę piersi. Najprostszy jest krój reformek z szelkami. Ponieważ dzieci przepadają za kieszeniami, można je na wszystkich spodenkach przyszyć, choć to niekoniecznie praktyczne, bo maleństwa lubią w nie pakować niezliczony skarby, wskutek czego łatwo się oddzierają. Trzeba więc podłożyć końce szwów, któremi są przyszyte.

Z. KULCZYCKA

WYKŁADY UNIWERSYTECKIE I KONGRESY GOSPOD. DOMOWEGO

Przy ogólnem przewartościowaniu życia przyszła kolej i na kobiece gospodarstwo domowe. Doniedawna była to praca niemal że pogardzana, wcale nie wynagradzana i w wartości swej niedoceniona. Dopiero obecnie statystycy zaczynają ujmować w cyfry dorobek domowej pracy kobiecej, jej pożytek dla ogólnego rozwoju ekonomicznego, dla pomnożenia bogactwa krajowego. Co więcej, pedagogowie chcą aby umiejętność w tym kierunku nie była czysto intuicyjną i opartą jedynie na osobistych praktycznych uzdolnieniach, ale wypływała ze zdobytych poporzednio fachowych studjów. Dawne niższe i średnie szkoły gospodarstwa domowego już nie wystarczają, nauka ta weszła do składu studjów uniwersyteckich. A jest ona bardzo rozległa i skomplikowana; do wykładów bowiem wchodzą: chemja, higjena, metody normalizacji pracy i cały szereg nauk pomocniczych. W Londynie w Kings College stworzono już w 1908 r. cały Fakultet gospodarstwa domowego, a w r. 1916 postanowiono wydawać tam dyplomy uniwersyteckie. Oglądaliśmy jeden z takich dyplomów. Co tu przedmiotów, z których zdawać trzeba! Oprócz wspomnianej już chemji, niezbędnej przy zdrowem gotowaniu, i higjeny dla zachowania czystości, znajdujemy jeszcze biologję, fizykę, bakterjologję i co jest bardzo oryginalne na kartach dyplomu uniwersyteckiego szczególniej: sztukę prowadzenia domu. Że nie jest to rzeczą tak łatwą, jak nam się wszystkim to dawniej wydawało, świadczą dalsze „przedmioty", z których egzamin zdawać trzeba, jak: socjologja i ekonomja polityczna. „Dom" jest najmniejszą komórką tego wielkiego organizmu, który zwie się społeczeństwem, jego normalne, umiejętne prowadzenie wyrokuje o zdrowiu rodzin, o dobrobycie i pomyślności państwa. A jeszcze ów angielski Fakultet nie poprzestaje bynajmniej na studjach teoretycznych. Młode dziewczęta wykonywać muszą liczne ćwiczenia praktyczne, zapoznawać się czynnie z wszelką pracą domową. Sztuka celowego wydawania pieniędzy stoi tu na pierwszym planie, a więc studjuje się towaroznawstwo, poznaje się metody i formy oszczędzania, system czekowy, szkody z kupowania na raty, zapoznaje się z bankowością, z systemem podatkowym i t. p. Słowem wnika się we wszystkie arkana życia praktycznego i potrzeb ekonomicznych. Kierownicy uniwersytetów wychodzą z tego założenia, że w czasach gdy tak wielką odgrywają rolę sprawy gospodarcze, kobieta winna wziąć w nich czynny udział i być wszechstronnie do tego przygotowaną.

Drugi podobny Fakultet otwarto świeżo na uniwersytecie w Nowym Jorku. Poprzednio prowadziła kursy gospodarstwa domowego istniejąca tam Szkoła Nowego Wychowania i to w dosyć wysokim zakresie. Kurs trwał tam 4 lata i gromadził znaczną liczbę dziewcząt, które po ich ukończeniu dostawały stopień wyższego wykształcenia. Zwracano też pilną uwagę na ćwiczenia praktyczne. Założone były w szkole różne typy gospodarstw domowych, mniej lub więcej zamożnych i w nich odbywały uczenice praktykę sześciotygodniową, same też meblowały i dekorowały mieszkania, w których urządzane były przyjęcia gości, aby uczenice wprawiały się do roli miłej i gościnnej pani domu. Co jeszcze jest ciekawsze, że nauczano je psychologji zgodnego współżycia, poznawania charakteru i gustów osób, z któremi się przebywa, stosowanie się do nich z pogodą i dobrą wolą. Szkoła gospodarstwa domowego była jednocześnie i szkołą zgodnego życia rodzinnego. „Dom" więc przestaje być jedynie miejscem, w którem się je i sypia, ale i instytucją szerszego, społecznego znaczenia. Wielki nacisk był położony na umiejętność ubierania się, stosowania się w tem do środków posiadanych, estetyka połączona ze skromnością była tu głównym nakazem, szanowanie rzeczy, kupowanie tylko dobrych materjałów, nieuleganie przelotnej modzie — pilnie przestrzegane. Wszystkie te zagadnienia były ujęte w kursy, na których wykładali pierwszorzędni profesorowie, kierujący również i ćwiczeniami praktycznemi. Ponieważ szkoła połączona była z internatem, więc wieczorami schodzili się razem nauczycielstwo z uczenicami i wszyscy spędzali rozkoszne wieczory przy kominkowym ogniu na roztrząsaniu rozmaitych zagadnień z życiem związanych.

Trochę żal, że obecnie teren tych studjów przeniesiony został do „uniwersytetu", gdzie z konieczności atmosfera już będzie więcej formalistyczna i surowa.

A w jaki sposób rezultaty tych studjów stosowane są w domowem życiu amerykańskiem, daje nam obraz p. Bernège, w swojem sprawozdaniu wygłoszonem przed Narodowym Komitetem francuskiej organizacji w Paryżu, po powrocie z podróży po Ameryce Północnej.

Otóż twierdzi ona, że usiłowania zerwania z życiem hotelowem a zwrócenia kobiet do zajęć domowych osiągają coraz wydatniejsze rezultaty. Zachęca je do tego coraz więcej stosowana normalizacja pracy, ułatwiająca ją w znacznym stopniu a także nowe wynalazki, zastępujące pracę rąk. Rzecz szczególna, że o ile jednak p. Bernège znalazła wszędzie maszynę do prania, nigdzie nie spotkała się z maszyną do szycia. Amerykanki nic nie szyją w domu, gdyż mówią, że wobec masowych wyrobów fabrycznych to się nie opłaca. Co więcej nie reperują bielizny, ale jak się zużyje to ją odrzucają, codziennie też ją zmieniają ze względów higjenicznych. Podróżniczka nie chwali kuchni amerykańskiej, mówi, że jest niesmaczna i mało urozmaicona, że nie może się równać pod tym względem z kuchnią francuską. Opisuje nadzwyczajne udogodnienia w gotowaniu, wszędzie przepływającą zimną i gorącą wodę, narzędzia elektryczne, widać, że to jednak nie wpływa na smak potraw. Ale zazdrości Amerykance tylu maszyn-wyręczycieli i mówi: „Może ona być długo młoda i ładna, podczas gdy Francuzka męcząc się przy gospodarstwie całe życie, już w 40 latach jest stara i znużona". Cóżby dopiero powiedziała o kobiecie polskiej, która w gospodarstwie domowem jeszcze ma mniej udogodnień. W ogólnej charakterystyce domów amerykańskich, prelegentka powiada, że są one nadzwyczaj czyste. Znacznie czyściej są tam mieszkania utrzymane niż gdziekolwiek za granicą, że w gotowaniu więcej chodzi o higjenę niż o smak potraw, starania o dekorację mieszkań są minimalne, utrzymują, że na to szkoda czasu. Wogóle „czas" uważany jest za największy skarb i każdy stara się go jak najkorzystniej zużytkować. Zdrowie i ruch, to dwie główne podstawy szczęścia i wesołości, to też kobiety starają się osiągnąć te dwa czynniki powodzenia.

Pozatem Amerykanki nie lubią sobie w niczem zadawać przymusu, utrzymując, że to szkodzi dobremu humorowi i zdrowiu. Jakże jednak można z tem pogodzić owe studja w Szkole Nowego Wychowania, na których młode dziewczęta ćwiczyły się w sztuce zgodnego, familijnego współżycia; bez pewnych ustępstw, z moralnym przymusem nieraz połączonych, nie da się tego osiągnąć.

A teraz jeszcze parę słów o kongresach familijnego i domowego wychowania, jakie się w ostatnich czasach odbywały. Czwarty kongres międzynarodowy odbył się w Liège z końcem zeszłego roku. 36 krajów było na nim reprezentowanych. Ciekawe są zgłoszone na nim rezolucje:

1) Zwrócić należy szczególną uwagę na wychowanie rodziców, nie wolno powierzać dzieci osobom nie mającym odpowiedniego przygotowania.

2) Dzieci winny być poddane od pierwszego roku życia badaniom psychologicznym.

3) Młodzież winna być przygotowana do pożycia małżeńskiego i uświadomiona o wszystkich niebezpieczeństwach wynikających z zarażenia, chorób dziedzicznych i t. p.

4) Rodzice winni budzić w dzieciach uczucia religijne i ukazywać im wyższy ideał życia.

Już ściśle pracą domową i gospodarczą kobiet zajmował się Kongres urządzony we Fryburgu. Chodziło tu o zajęcia kobiet wiejskich na fermach większych czy mniejszych. Stwierdzono, że pracują one po 12—15 godzin dziennie a nawet niektóre z nich do 18 godzin. I tu właśnie zastanawiano się nad kwestją, którą poruszyłam na wstępie tego artykułu: niedoceniania pracy kobiecej. Powinien tu być rozwinięty jak najszerzej system racjonalizacji, któryby ułatwił i skrócił czas zajęć i pozwolił kobiecie, która jest jednocześnie gospodynią i matką rodziny, na pracę nad sobą, na czytanie i samokształcenie. Kongres postanowił, że w każdej okolicy ustanowić należy poza szkołami gospodarczemi także instruktorów objazdowych, którzyby nauczali metod racjonalnej, skróconej pracy.

Rada Narodowa Kobiet, zebrana we Wiedniu, zajmowała się prawami majątkowemi kobiet, ich udziałem w samorządach lokalnych, poza tem na Kongresie Rolniczym w Rzymie poruszano sprawę przeciążenia pracą kobiet w rolnictwie zajętych. W Królewcu założono specjalną szkołę pomocnic gospodarczych. — W Frankfurcie nad Menem Związek Zawodowy Kobiet uznał, że praca domowa winna być uznaną za profesję, wymagającą poprzedniego przygotowania. W Berlinie na Zjeździe Centralnego Komitetu Zawodowego Kształcenia Kobiet p. Friedmann przedstawiła plan kursów dla „pań domu", na których składanoby egzaminy ze wszystkich nauk pomocniczych. W Paryżu istnieją już podobne kursy a w 1930 r. kształciło się na nich 95 młodych kobiet, z których 65 dostało dyplomy, z tych dwie z odznaczeniem („mention honorable").

Zajęcia domowe coraz więcej zaczynają być „sztuką" i przedmiotem poważnych studjów.

I. W. KOSMOWSKA

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

PORZĄDKI NA STRYCHU. (C. d.) Rzecz jasna, że strych powinno się wymiatać, skropiwszy podłogę względnie posadzkę z cegły, żeby unoszący się kurz nie osiadał na sprzętach. Na strychach służących do wieszania bielizny używa się najlepiej haków powleczonych cyną, z gwintem do wśrubowania. Zapobiega to ich rdzewieniu i tym sposobem zawalaniu albo zniszczeniu sznurów. Niepraktycznie jest pozostawiać sznury stale rozpięte na hakach. Pył osiada na nich, prócz tego niszczą się wskutek zmian temperatury i wilgoci. Przepojenie sznurów ałunem czyni je wprawdzie odpornemi na wilgoć, ale nie ochrania ich przed zapyleniem. A staranne nawet wytarcie przed wieszaniem bielizny nie może zapobiec bodaj lekkiemu powalaniu się bielizny. Sznury powinno się zatem zwijać po każdem użyciu i przechowywać w czystym woreczku, wtedy nie trzeba ich nigdy prać.



Ponieważ łatwo zapomnieć, jakie przedmioty czy części odzieży przechowywa się w różnych kufrach i skrzyniach, wskazanem jest, żeby umieścić wewnątrz każdej pokrywy spis poszczególnych rzeczy. Zapobiega się w ten sposób męczącemu szukaniu i wykładaniu wszystkich rzeczy.

Dawniej używano chętnie koszów do przechowywania pościeli, albo nawet do podróży. Przewiewność ich i lekkość przemawiała za niemi, ale o ile nie były wewnątrz wyłożone nieprzemakalnem płótnem, kurz wnikał w nie i zanieczyszczał złożone w nich rzeczy. Również łatwy wstęp miały owady szkodliwe i myszy. Praktyczniejsze są zatem kufry drewniane, dokładnie uszczelnione, a najodpowiedniej zabezpieczone przeciw wilgoci i myszom są skrzynie obite blachą. Należy jednak uważać, żeby rzeczy w nich przechowane były zupełnie suche i starannie przewietrzone, inaczej zbutwieją albo nabiorą niemiłej woni. Co pewien czas musi się je przewietrzać.

ZUPA Z MÓŻDŻKU. Wymoczyć móżdżek i zblanszerować, następnie posiekać i dusić na maśle. Dodać 2 łyżki mąki, wymieszać i rozprowadzić litrem rosołu z mięsa albo jarzyn. Nakoniec posolić, popieprzyć i podać z posiekaną pietruszką.

SERCE WOŁOWE NA DZIKO. Oczyścić serce z żył i tłuszczu i włożyć na kilka dni do marynaty z octu, wody, cebuli, włoszczyzny i korzeni. Przed upieczeniem osączyć, naszpikować, do środka zaś włożyć kawałek masła i zapiąć drewienkiem. Nakoniec natrzeć solą ze zmielonym jałowcem, zrumienić i podlać buljonem albo wodą. Dusić przez 2 godziny, nakoniec zaprawić śmietaną z odrobiną mąki.

SIEKANE SZNYCLE ZE ŚMIETANĄ. Zemleć ½ kg wołowiny bez żył, dodać soli, pieprzu, łyżkę siekanej zielonej pietruszki oraz ½ kwaterki śmietanki i formować z tej masy starannie wymieszanej sznycelki, tarzając je w mące. Położyć na gorące masło i smażyć po 3 minuty na każdej stronie. Następnie wyjąć ostrożnie na ogrzany półmisek i wstawić do gorącej rury. Na maśle pozostałem w brytwannie zrobić zasmażkę dość ciemną z 1 łyżki mąki, rozprowadzić rosołem, dodać ekstraktu z grzybów oraz 2 łyżki śmietany. Gdy sos dostatecznie gęsty, wylać na sznycle i podać z jarzyną, kartoflami albo makaronem.

OMLETY ZE SZPARAGAMI I SZYNKĄ. Dość grubych szparagów ½ kg obrać i pokrajać w kawałki długości małego palca. Ugotować i osączyć, odwaru nie wylać. Ubić 3 jaja ze szczyptą soli, dodać 4 łyżki mąki i 3 łyżki mleka i odstawić. Następnie zrobić jasną zaprażkę z masła i mąki, rozprowadzić odwarem ze



szparagów, dać szczyptę angielskiego pieprzu i gałki muszkatułowej i włożyć szparagi. Postawić na blasze z boku, żeby nie stygło. Teraz należy posiekać ⅛ kg szynki, utrzeć tyleż sera szwajcarskiego lub parmezanu. Upiec 3 omlety dość duże z przygotowanej jak powyżej masy. Ułożyć pierwszy na okrągłym półmisku i posypać posiekaną szynką, na to położyć drugi, na który sypiemy tarty ser, na wierzch zaś kładziemy trzeci omlet i szparagi w sosie. Smak sosu można poprawić żółtkiem dodanem tuż przed podaniem. Całość pokrajać jak tort i podać natychmiast.



PIEROGI Z CHLEBEM I SZCZYPIORKIEM. Pokrajać kilka skibek chleba pszennego w kostkę i zrumienić na maśle. Wymieszać następnie z kilku łyżkami posiekanego szczypiorka, 2—3 jajami i solą. Zamiesić ciasto na pierogi, wykrawać dość duże krążki albo kwadraty i napełnić jak zwykłe pierogi masą z chleba i szczypiorka. W brytwannie rozgrzać wodę z solą, niewięcej jak na 2 cm wysokości, dodać 1—2 łyżki masła i włożyć pierogi ciasno. Dusić powoli, a gdy wszystka woda wyparuje, pozostawić na ogniu, aż utworzy się pod spodem rumiana skórka.

KOMUNIKAT. — Instytut Gospodarstwa Domowego nadał cechę Instytutu dla: Piecyka Gazowego pod nazwą „Smakosz". — Wytwórnia: Cynkownia Warszawska, ul. Boduena 3, inż. Rapacki. Cena: 85 zł., dla członkiń „Z. P. D." i „Instytutu G. D.", opust 15%. — Bliższe szczegóły w numerze czerwcowym pisma „Organizacja Gospodarstwa Domowego".



TOWAROZNAWSTWO

Pistacje są to orzeszki barwy zielonej, zbliżone w smaku do migdałów. Pochodzą z krajów śródziemnomorskich i wschodnich. Używa się ich głównie w cukiernictwie.

Bukiewki, nasiona buków, bardzo tłuste i smaczne, służą właściwie tylko jako pasza dla bydła, jednakowoż podczas wojny używano ich również jako namiastki orzechów i palono z nich bardzo smaczną kawę. Są ciężko strawne z powodu obfitej zawartości tłuszczu.

Orzechy kokosowe mają dziś znaczne zastosowanie, gdyż dostarczają trzech materjałów: twardej łupiny, której włókien używa się na różne cele, właściwego ziarna, z którego wytłacza się cenny tłuszcz do wyrobu masła kokosowego i t. d., oraz otrębów i mączek służących jako namiastka migdałów; nakoniec mleka kokosowego zawartego we wnętrzu ziarna. Sprowadzamy je z Afryki, z Ameryki oraz z Wysp Sundajskich i Oceanu Spokojnego.

Kasztany odznaczają się po upieczeniu miłym i słodkawym smakiem. Rosną w południowej Europie oraz w Turcji. Zdrowe kasztany mają piękną gładką łupinę i białe jądro. Rzucone do wody spadają na dno. Robaczywe, spleśniałe, zbyt lekkie, albo skamieniałe są tak samo niezdatne do użytku jak kiełkujące.

Również z Południa, z krajów podzwrotnikowych pochodzi chleb świętojański. Są to strąki barwy bronzowej, o miłym słodkim smaku, zawierające drobne, twarde i błyszczące ziarnka. Twarde i włókniste strąki są zbyt stare. Należy też uważać, żeby nie były robaczywe ani stoczone przez mole. Do owoców południowych trzeba też zaliczyć oliwki podobne do śliwek, w stanie dojrzałym niebieskawo czarne o smaku gorzkawo-cierpkim i oleistym. Służą jako przyprawa i nabyć je można u nas w konserwach, niedojrzałe zielone i czarne dojrzałe, sprowadzanych z Włoch i Francji Południowej.

Pigwy, jedne podobne do jabłek, drugie do gruszek, dojrzewają wprawdzie także w cieplejszych okolicach Europy środkowej, ale właściwą ich ojczyzną są kraje nieco cieplejsze. Nie są jadalne w stanie surowym, służą zatem jedynie do wyrobu konserw różnego rodzaju.

Owoce pestkowe. Najwcześniejsze z nich są czereśnie, a z tych znowuż dojrzewają najwcześniej jasne gatunki, jak woskowe, barwy żółtawej, duże, o słodkim i aromatycznym smaku. Jest to odmiana deserowa. Nie daje się długo przechowywać, gdyż dostaje szybko brunatne plamy. Podobna, lecz barwy żółtawo-różowej jest królowa Hortenzja, niezdatna również do transportu.

W drugiej połowie kwietnia dojrzewa świetna świętojańska, barwy jasno czerwonej, szklista i lśniąca. Smak słodki, miąższ soczysty i jędrny, nadaje się do transportu.

W czerwcu dojrzewa również duża czarna sercowa, chrupiąca, o miąższu twardym i niezbyt soczystym, ale słodkim i bardzo smacznym.

Bardziej kwaskowaty jest smak książęcej, ciemno-czerwonej, dość dużej, o formie charakterystycznej nieco spłaszczonej, sercowatej; można ją przewozić.

Miąższ największej czarnej czereśni jest ciemno-krwisty z jaśniejszemi żyłkami, słodki i soczysty. Owoc ma formę owalną.

Wczesna angielska jest duża, lekko spłaszczona, szklisto-przezroczysta, barwy ciemno-czerwonej, smak ma kwaskowato-słodki, bardzo dobry.

Gorzka czereśnia dostarcza smacznej konfitury oraz likieru zwanego „kirsch". Rośnie dziko w lesie. Owoce są drobne, czarne.



Syrop z czeresień jest używany w lecznictwie, podobnie używa się odwaru z ogonków przeciw kaszlowi. Tłuczone pestki dodaje się do likieru z czeresień i wisień.

Wiśnie dojrzewają później jak czereśnie. Z nich najwcześniejsze są szklane amorele, czerwone, bardzo soczyste i kwaskowate. Nie znoszą transportu i szybko dostają brunatne plamy. — Doskonałe na soki, konfitury i inne konserwy.

Mała Montmorency odznacza się krótkim ogonkiem i formą wklęsłą u dołu i lekko spłaszczoną. Jest kwaśna, czerwona, psuje się szybko, ale dobra na powidełka.

Owalne wiśnie czarne są doskonałe na konserwy. Barwy bardzo ciemnej, prawie czarnej, o miąższu jędrnym z czarnemi żyłkami, dość kwaśne. Łatwo się gniotą, poczem psują się szybko.

Najtrwalsze są czarne średniej wielkości, gatunku dość pospolitego. Nadają się doskonale na przetwory i dają się dobrze przesyłać.

Najpóźniej dojrzewa Belle de Châtenay, bo z końcem lipca i początkiem sierpnia. Jest dość duża, u góry szersza, barwy karminowej, słodkawa. Dobra do jedzenia i na kompoty oraz konserwy.

Wiśnie czarne suszy się. Nalewki i wina z wisień są wyborne i bardzo poszukiwane. Sok z wisień jest również bardzo smaczny. Mało u nas znane są pikle z czeresień i wisień, chętnie spożywane w Anglji.

Niektóre rodzaje śliwek dojrzewają już w połowie lipca. Są to odmiany okrągłe, gdyż prawie wszystkie odmiany podłużne dojrzewają aż w jesieni.

Bonne de Brie jest najwcześniejsza, średniej wielkości, okrągła, barwy fiołkowej. Jako dość soczysta i słodka używana jest jako deserowa oraz na konserwy.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. ANTONI W. — W języku polskim wychodzi czasopismo poświęcone sprawom, które Pana interesują. Podajemy adres: „Dom, osiedle, mieszkanie" — Warszawa, Mokotowska 51/53. Jesteśmy przekonani, że zwróciwszy się z prośbą o radę, otrzyma Pan fachowe informacje.

NIEZDECYDOWANA. — Trudno i nam zadecydować o lekturze dla Pani, gdyż nie znamy jej upodobań, ani umysłowości. W księgarni, w której Pani stale kupuje, pozwolą z pewnością przejrzeć nowe wydawnictwa. Jeżeli zaś nie ma Pani „swojej" księgarni, w takim razie radzimy zwrócić się do Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, Lwów, Akademicka 2 a, Dział Wysyłkowy i poprosić o przysłanie książek do przejrzenia, bez zobowiązania kupna. Trzeba jednocześnie zaznaczyć, jakiego rodzaju książki są pożądane.

WIOŚLARKA. — Praktyczny kostjum wioślarski może Pani wykonać w domu własnoręcznie, przy małym nakładzie pracy i kosztów. Krótkie, ciemne spodenki z satyny, bluzeczka biała bez rękawów, albo z króciutkiemi. Bluzeczka z płótna — satyna za ciężka — a pantofelki również płócienne. Higjeniczna podeszew jest sznurkowa; kauczukowe lub gumowe szkodzą stopom, wywołując nadmierne rozgrzanie i pocenie. Białe, bawełniane skarpetki chronią pantofle przed bezpośredniem zetknięciem się z transpirującą skórą. Jest to kostjum do zwykłych przejażdżek krótkoterminowych, natomiast gdy idzie o turystykę wioślarską, o długotrwałe wycieczki potrzebny jest solidniejszy kostjum. Zatem: długie spodnie z ciemnej flaneli, kolorowy pullover, berecik lub trykotowa czapeczka i nieprzemakalny płaszcz.

WARSZAWIANKA. — Wełnę krajaną do tkania dywanów dostać można w firmie: „Włókno polskie", Warszawa, Rynkowa 11.

P. KAZIMIERZ W. — Szkoła marynarki jest w Tczewie; sądzimy, że taki adres wystarczy. Szczegółów nie znamy, otrzyma je Pan z pewnością po zwróceniu się do sekretarjatu szkoły.

MARYLA P. — „Lampki wieczyste" nie mogą być istotnie włączone do kontaktu elektrycznego. Wedle rozporządzenia papieskiego do lampek płonących przed obrazami świętych musi być olej. W handlu jest do tego celu czysty olej rzepakowy, uważany za najlepszy.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3

Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-31

Podczas upałów i kurzu

dezynfekuj jamę ustną „Odolem"

Odol odświeża i orzeźwia.

Butelka „Odol" wystarczy na miesiące.



1236

Instytut kosmetyczny fryzjerstwa damskiego

A. PREVENDAR

LWÓW

UL. CZARNIECKIEGO 2

Zawiadamia P. T. Panie, że ceny zostały znacznie zniżone.

Farbowanie włosów kosztuje 25 złotych, elektryczna trwała ondulacja od zwoju 2 złote, brwi i rzęsy 5 złotych.

Obsługa pierwszorzędna 1083

Każda gospodyni usmaży znakomite konfitury, soki, marmelady i jamy podług nieocenionej książki

Z. KULCZYCKIEJ

NAJWIĘKSZY ZBIÓR PRZEPISÓW

SMAŻENIA KONFITUR, SOKÓW, MARMELAD I INNYCH PRZETWORÓW OWOCOWYCH

Ta piękna ilustrowana książka obejmuje następującą treść:

Ogólne wskazówki. Konfitury. Jamy. Galarety. Marmelady. Powidła. Serki czyli pasty owocowe. Suche konfitury i kandyzy. Soki owocowe z cukrem. Soki i marmelady surowe oraz sorbety. Galaretki surowe. Sorbety pomadkowe. Miodki owocowe. Sterylizowanie kompotów, soków i marmelad. Kompoty. Soki sterylizowane. Kompoty bez cukru, owoce we własnym soku. Miazgi bez cukru. Konserwowanie miazg. Soki bez cukru surowe. Owoce w occie i cukrze. Owoce mieszane w occie z cukrem. Suszenie owoców. Przechowywanie — — — — — świeżych owoców — — — — —

Wymienione powyżej przepisy są do naszych potrzeb zastosowane, wypróbowane, (zarówno wedle starych jak i najnowszych metod). Zwracamy uwagę na przepisy przyrządzania przetworów owocowych bez cukru

CENA W OPRAWIE ZŁOTYCH 6·—

KSIĘGARNIA POLSKA B. POŁONIECKIEGO

LWÓW, AKADEMICKA 2 A — WARSZAWA, WILCZA 3

Za darmo

oddajemy każdej prenumeratorce „Świata Kobiecego" wydany staraniem Księgarni Polskiej we Lwowie katalog pod tytułem:

Gospodarstwo wiejskie

Katalog obejmuje wszystkie książki z tego działu znajdujące się w handlu księgarskim

Gütermann

jedwab do szycia



Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**
Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34